

W NUMERZE: Clo-
cia, Józlo i Ja ■ Naj-
dziwniejsza księga
Ameryki ■ Szachi-
sta ■ Skuś baba w
kręgle ■ Moskwa —
80 ■ S.O.S. z Wyspy
Śmierci ■ Poezja ■
Felietony ■ Recen-
zje

Łódź

odgłosy

tygodnik społeczno-kulturalny

NR 31 (1182) ROK XXIII

3 SIERPNIA 1980 R.

CENA 3 ZŁ

WACŁAW OPAKCI

ZNOWU w natarciu

Stuttgart, Ulm, Kolonia, Dünkelsbühl... do tych miast czas przeszły wraca co kilka miesięcy. Są flagi, sztandary reprezentujące poszczególne landy i hanzeatyckie miasta zachodniemieckiego państwa, oczywiście wraz z „Land Westpreussen”, „Land Ostpreussen”, „Land Oberschlesien”, o-kolicznościowe suweniry. Są depesze powitalne od wiecznie o nich pamięta-jącego F. J. Straussa („szkoda, że nie mógł osobiście dzisiaj przybyć”) — od Gerharta Rudolfa Bauma — federalnego ministra spraw wewnętrznych, Johanna Raua — SPD-owskiego premiera rządu Nadrenii Północnej-West-falii. Jest muzyka Ryszarda Wagnera i przemówienia, wszystkie na jedną nutę.

— „żądamy powrotu do swojej ojczyzny”
— „żądamy praw do samostanowienia”
— „granica z 1937 roku nadal istnieje”
— „chcemy pokoju, ale i naszych ziem”!

Kto tak woła?
HERBERT CZAJA — przewodniczący Federalnego Związku Wygnańców (BdV) obywateli polski, absolwent Uniwersytetu Jagiellońskiego: — Nigdy z obecnym stanem rzeczy nie pogodzimy się. W Europie wschodniej i po-łudniowo-wschodniej żyje jeszcze 3,5 mln Niemców, a w Polsce jest ich milion. W piśmie do Ślązaków, podczas ich zlotu w czasie tegorocznych Zie-lonych Świąt: — w granicznym landzie Oberschlesien żyje jeszcze dziś pra-wie milion Niemców, którym zakazane jest kultywowanie ich niemieczny-ści.

HERBERT HUPKA, przywódca „Ziomkostwa Ślązaków”, urodzony na Cej-lonii, od 1969 roku deputowany do Bundestagu, od 1972 roku w barwach SPD: Podział Niemiec jest rzeczywistością. Zapomina się tylko dodać, że owa rzeczywistość jest bezprawiem.

WALTER BRECHER — „współtwórca Bawarii”, ale i przewodniczący „Niemców Sudeckich”: — Następnym filmem po „Holocauście” powinien być film o tragedii milionów Niemców, wypędzonych po II wojnie światowej z dawnych prowincji wschodnich i południowo-wschodnich Rzeszy niemiec-kiej.

F. WALTER, podczas tegorocznego Zlotu Górnoślązaków przemówił do ze-branych w kolońskiej hali sportowej pod hasłem „Oberschlesien pod krzy-żem”: — Wierność ojczyźnie pozostaje istotnym czynnikiem polityki zjedno-czenia Niemiec. Ostateczne granice Niemiec nie mogą być ustalone przez fałszerstwa historyczne.

Dalszy ciąg na str. 2, 3



Sanitariuszki z Powstania Warszawskiego

Foto: Archiwum

JANUSZ
WIŚNIEWSKI

„ZOSIA”

Udział dziewcząt w służbie kon-
spiracji, ich bezgraniczne oddanie
wyzwoleniu ojczyzny bez względu
na ryzyko cierpień własnych i swo-
ich najbliższych, należy do fenome-
nów ostatniej wojny. Niech więc
wspomnienia ich walk pozwolą zbli-
żyć się nam do tamtych dni...

1.
„Zosia” (Zofia Jastrzębska), mając
16 lat, podczas walk o Stolicę w
1939 roku, pracowała ochotniczo w
połowym szpitalu na ul. Lwowskiej
i w szpitalu Ujazdowskim. Po upad-
ku Stolicy wstępuje do szeregów
Służby Zwycięstwa Polski, skontak-
towana przez panią Binzer z ul.
Flory 1 w Warszawie z nauczyciel-
ką szkół średnich, por „Jadwigą”
(Antonina Kon), która ją zaprzysię-
ga. W tej żołnierskiej służbie zosta-
je patrolową nad Haliną Ogledzką,
Marią Dąbrowską, Barbarą Lech i
Jadwigą Kostrzewską. Patrol prze-
chodzi szkolenie sanitarne, kolportaż
gazetek konspiracyjnych w rejonie:
Filtrowa, plac Narutowicza, Uniwer-

Dalszy ciąg na str. 2, 3

EUGENIUSZ IWANICKI

GŁĘBOKI WYKOP

5 CZERWCA 1980 godz. 11.00.

Wacław Matusiak wyszedł z syn-
nem z domu przy ulicy Nowej i
przeciąwszy jezdnię wszedł na za-
plecze Poradni Rejonowej. Minął
głęboki wykop pełen wody ze zwa-
łami wydobytej ziemi, przeszedł
przez wyrwę w płocie powstałą na
skutek zniszczenia betonowego ogro-
dzenia i znalazł się na podwórzu po-
sesji nr 12 przy ul. Przedzalnianej.
— Tamteży, panie, wszyscy chodzi-
liśmy i wtedy, kiedy nie było tych
wykopów i później. Teraz to wszyst-
ko tu jest zabezpieczone, ale wów-
czas nie było ani siatek ani tablic
ostrzegawczych. W tym wykopie
zawsze stała woda i dzieci przycho-
dziły nad ten wykop z Przedzalnia-
nej i tu się bawiły w piachu i gline.
Nikt na to nie zwracał uwagi;
ani rodzice ani robotnicy, którzy
tam pracowali. Przede wszystkim
dzieciak mojej sąsiadki, nawet leżał
w szpitalu, ale jakoś nikt się tym
nie przejął.

5 CZERWCA 1980, GODZ. 11.15

Kazimierz Wypych i Wacław Boro-
wiec mieszkający przy Nowej wy-
szli z domu tuż przed jedenastą i
jak zwykle poszli na skróty przez
podwórze przychodni w stronę Prze-
dzalnianej. Tuż przed nimi szło nie-
znane im małżeństwo i obaj mę-
czyźni widzieli, jak kobieta pochyli-
ła się nad wykopem.

Dalszy ciąg na str. 4

Sen myśliwski nam odkrył tajnie
przyszłych czasów
Ze Litwie trzeba zaw sze żelaza i
lasów.
A. MICKIEWICZ

Marszruta podróży naszej delegacji
przypomina meander. Zaczęliśmy od
Zaniemnia, z Druskiennik przybyliś-

TADEUSZ CHRÓSCIELEWSKI

DRZEWA LITEWSKIE

my do Miasta, które w lasach siedzi,
stamtąd na górę mapy, obok Morza
Kowieńskiego, do miasta, w którym
łatwo stwierdzić naocznie, że nadal
strumień rodzica dno ma złociste a
niebieskie lica. Potem wsie i mia-
steczka na przemian Zmudzi i Auk-
sztoty. Dalej Litwa Mała, na którą
szedł najsilniejszy i przez spory czas
zwycięski napór Drang nach Osten
i skąd (wybrzeże morskie) pochodzą
najpiękniejsze litewskie baśnie o Ju-

racie i Kastitisie i Egle — małżonce
węża Żyglinasa. Z powrotem drogą
jak strzelił do Miasta na siedmiu pa-
górkach i przez Ostrą Bramę do Trok
— odbudowanej w wielu miejscach
od fundamentów, jak Zamek War-
szawski, rezydencji najwaleczniejszych
władców przedborskiej Litwy.
Podróż, wypełniona nie tylko zwie-

Dalszy ciąg na str. 5

KAZIMIERZ KOLINKA

40 JUBILEUSZOWY

(dokończenie z poprzedniego numeru)

Jedziemy w kolumnie aut; to kibice wracający z wyścigu. Poru-
szają się rozważnie, szybkość 70—80 km/h. Nie mogą pozwolić so-
bie na luksus jazdy turystycznej, przyspieszają, wyprzedzają je-
dnorazowo po kilkanaście wozów. Zaczyna padać deszcz. Kolumna
zwalnia. Teraz mam szansę, wydostaję się na czoło. Deszcz leje,
dojeżdżamy do miasta, na pustych ulicach jadę z dozwoloną pręd-
kością, choć czas bardzo nagli. Zatrzymanie przez milicjanta, to
przede wszystkim strata cennego czasu, nie mówiąc już o mandacie.
Trzymam się więc w ryzach.

Dalszy ciąg na str. 10, 11

BARBARA
SKIBA

ARCHEOLOGIZY

NA POLACH GRUNWALDU

Dwunastego i trzynastego lipca na
polach Grunwaldu odbyły się patrio-
tyczne uroczystości. W 570 rocznicę
wielkiego zwycięstwa polskiego oręza
nad Zakonem Krzyżackim, w roczni-
cę bitwy, która przeszła do historii
Europy, cisnie się na usta pytanie:
Co naprawdę tak na co dzień wiemy
o tej wielkiej victorii? Mamy przed
oczyma Matejkowską „Bitwę pod
Grunwaldem”, pamiętamy co nieco z
lekcji historii. A tak naprawdę, to
nasza wiedza na ten temat jest bar-
dzo, bardzo uboga. Literatura popu-
larnonaukowa również.

— Dlaczego tak się dzieje — py-
tam prof. dr-hab. Andrzeja Nadol-
skiego, kierownika Zakładu Archeo-
logii Polskiej Środkowej Instytutu His-
torii Kultury Materialnej PAN, kie-
rującego od roku pracami archeolo-
gicznymi na polach Grunwaldu.

— Może zabrzmi to nieprzekony-
wająco, ale o bitwie pod Grunwal-
dem, wyglądzie wojsk i sposobach
walk wiemy jednocześnie bardzo du-
żo i bardzo mało — wyjaśnia Pro-
fesor. — Dużo, gdyż dysponujemy
licznymi źródłami pisanyymi. Mamy
do dyspozycji kronikę Długosza, re-
lacje historiografów krzyżackich,

zw. „Kronikę konfliktu”, napisaną
zaraz po bitwie. Zachowało się też
sporo korespondencji, m. in. listy
Jagiełły datowane po zakończeniu
bitwy. Wszystkie te źródła dostar-
czają nam ogólnych wiadomości.

W niewielkim natomiast stopniu
znamy szczegóły bitwy. Badania ar-
cheologiczne, prowadzone na tym
terenie 20 lat temu, zostały przed-
wczesnie zawieszone. Obecna inten-
syfikacja prac badawczych wiąże się
bezpośrednio z uchwałą Prezydium
Rządu o zagospodarowaniu turystycz-
nym pól Grunwaldu. Już po pierw-
szym sezonie archeologicznym widać,
że wyniki badań pozwolą nam zwe-
ryfikować liczne szczegóły dotyczące
bitwy. W miejsce dotychczas roz-
powszechnionych hipotez wprowadza-
my inne, starając się w ten spo-
sób maksymalnie zbliżyć do prawdy.

Naszym głównym zadaniem jest
szczegółowa konfrontacja stanu te-
renu bitwy z ponownie odczytywa-
nymi źródłami pisanyymi. Zabiegi te
mają na celu kolejną próbę lokaliz-
acji poszczególnych epizodów bitwy.
Staramy się także zdobyć nowe, bez-
pośrednie źródła typu archeologicz-
nego — kończy prof. A. Nadolski.

Dalszy ciąg na str. 8

HORACY SAFRIN

11.I.1899 — 22.VII.1980

Zegnamy Horacego Safrina, znakomitego facecjonistę, aforystę, fraszkopisarza, zbieracza anegdot i przysłów, przede wszystkim jednak prawdziwego mędrca, który służył nam swym dowcipem, doświadczeniem i piórem.

Urodził się w Monasterzyskach koło Buczacza. W Wiedniu studiował filologię germańską i angielską, był także słuchaczem szkoły teatralnej. Prawie dwadzieścia lat spędził na scenie teatru objazdowego im. Goldfadena w Stanisławowie. Był jego kierownikiem literackim, reżyserem, konferansjerem, przede wszystkim zaś aktorem.

Zadebiutował tomikiem „Poeci” w roku 1913. Wydał potem „Baśń o iluzji” (1917), „O Bogu i ludziach” (1926), „Niedzkręcie” (1930), „Światliki” (1930). Okres wojny spędził w Związku Radzieckim. Po wyzwoleniu osiadł w Łodzi i właśnie tutaj nastąpił rozwój jego twórczości. I tak w roku 1957 opublikował zbiór bajek „Ośla szczeka”, dwa lata później satyrę „Mucha na cokole”, następnie kolejny tom satyr „Głupcy z Głupka” (1962). Prawdziwym bestsellerem stała się książka „Przy szabasowych świecach”, prezentująca perypety humoru żydowskiego, wielokrotnie wznowiana. Wydał również „Na berdy czowskim rynku” (1966), „Swatanie wielbłąda” (1968), „Bez figowego listka” (1972). Jest współautorem publikacji „Pieśń śmiechów głównych” (1967). W 1970 r. ukazały się wspomnienia Safrina „Ucieszne i osobliwe historie mego życia”. Horacy Safrin uprawiał twórczość nie tylko w języku polskim. Pisywał również po żydowsku i niemiecku. Dla potrzeb własnego teatru przetłumaczył na język żydowski między innymi Szekspira, Strindberga, Przybyszewskiego. Na język polski przekładał autorów żydowskich. Napisał kilkanaście rewii satyrycznych.

W opublikowanej przed rokiem zbiorze „W arce Noego”, swej dwudziestej książce, przypomniał Safrin słowa Izaaka Babla: „Szakał wyje, kiedy głodny, każdemu głupcowi wystarczy głupoty, żeby się frasować, a tylko mędrzec rozdziera śmiechem zasłony bytu”. Często był to śmiech gorzki, oczyszczający.

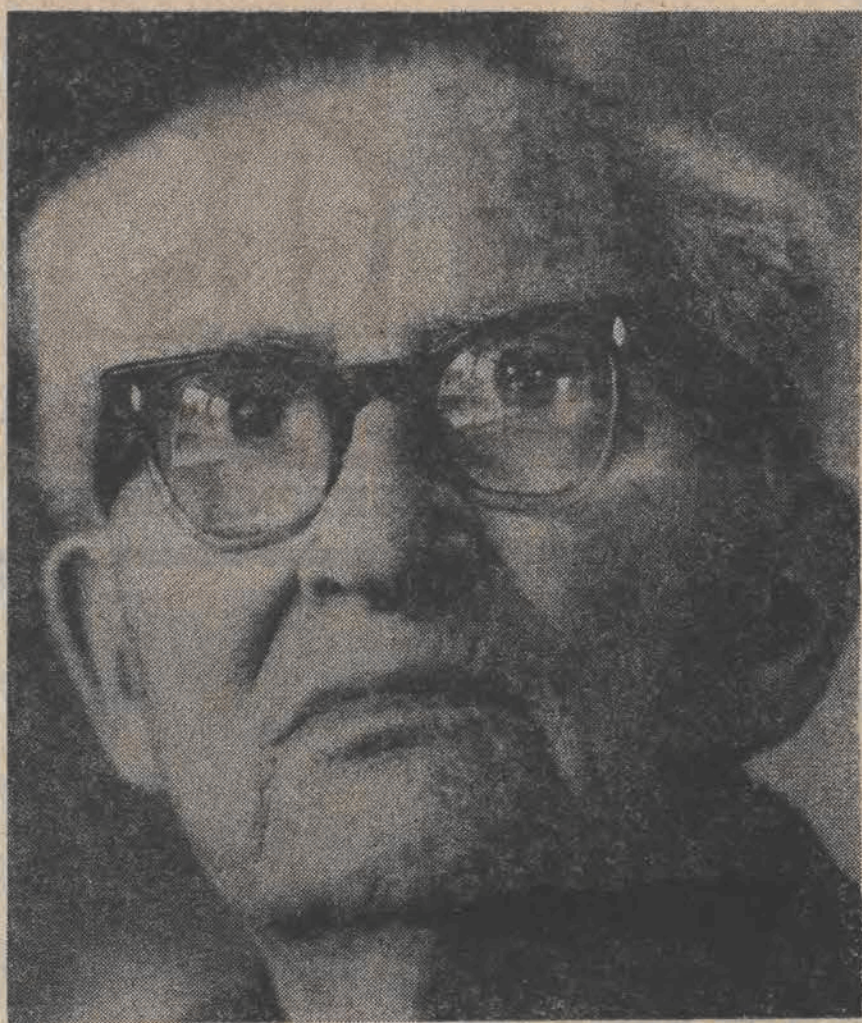


Foto: W. Parys

Z tego właśnie tomu pochodzą słowa stanowiące najtrafniejsze poznanie pisarza:

„Pozostała po tobie nie pisana księga, filuterna, swawolna, z respektu wyzuta, i kamrat nieodłączny: humor twój,

lążęga, wystający jak palec z podartego buta”.

Zawarty w twórczości Horacego Safrina humor wynikał z mądrości ludu, często miał po prostu plebejski charakter, wynikał z potrzeby zdrowego śmiechu z uduśnienia, fanaberii i wynaturzeń, potrzebaliśmy go wszyscy dla zwykłej obrony przed deformacjami cywilizowanego świata. Odszedł pisarz, pozostał jego dorobek ułatwiający czytelnikom niełatwą sztukę życia. Pozostała pamięć.

TB

Pieśni i Tańca „Mazowsze” rozpoczął występ w największej londyńskiej sali koncertowej Royal Festival Hall. Będą one trwały do 9 sierpnia.

W DOMU DZIENNIKARZA w Warszawie odznaczono zasłużonych dziennikarzy. Odznaczonych zostali m. in. koledzy z Łodzi — Stanisław Ciesonik („Express Ilustrowany”) — Złoty Krzyżem Zasługi i Halina Sibirska („Karuzela”) — Srebrnym Krzyżem Zasługi.

W STOLICY NRD otwarto wystawę retrospektywną prac graficznych Tadeusza Kulskiego. Artysta jest członkiem — korespondentem Berlińskiej Akademii Sztuk Pięknych.

W MIELCU zakończył się V Światowy Festiwal Polonijnych Zespołów Folklorystycznych. Wzięło w nim udział 46 zespołów z Europy, Ameryki i Australii.

W NOWYM JORKU odbyło się seminarium poświęcone problemom współczesnej dramaturgii i teatru w krajach Europy Wschodniej. Jednym z wykładowców był dyrektor warszawskiego Teatru Powszechnego, Zygmunt Hubner. Ekspozowano polskie plakaty

teatralne i odbył się pokaz filmu A. Wajdy „Panny z Wilka”.

KILKANASIE PROJEKTORÓW FILMOWYCH z okresu międzywojennego odnaleźli we Wrocławiu pracownicy powstającego w Łodzi Muzeum Kineematografii. Projektory wzbogaciły łódzką kolekcję.

Swoją drogą — jak szybko technika filmowa trafia do muzeów...

POLSKA PIOSENKARKA, Małgorzata Zawadzka, zwyciężyła w dorocznym festiwalu piosenek krajów nadbałtyckich w Karlshamn (Szwecja).

NA OGÓLNOPOLSKIM FESTIWALU tańca w Kuopio wystąpił Polski Teatr Tańca z Poznania, kierowany przez Konrada Drzewieckiego. Koncertował tu także Zespół Pieśni i Tańca „Halny” z Zakopanego.

W GANDRII, w Szwajcarii, otwarte muzeum poświęcone dziejom internowanych w tym kraju żołnierzy II wojny światowej. Wiele miejsca poświęcono ekspozycji upamiętniającej pobyt w Szwajcarii przeszło 12 tysięcy polskich żołnierzy i oficerów 2 Dywizji Strzelców Pieszych.

dziennym rozmów, a zwłaszcza czasie ich rozpoczęcia. Mimo to można się w miarę optymistycznie sygnalizować. Administracja amerykańska jest teraz zajęta sierpniową konwencją demokratów, która ma przecież zdecydować o kandydaturach na prezydenta i wiceprezydenta z ramienia tej partii. Chyba więc dopiero po listopadowych wyborach dojdzie do zapowiadanych rozmów, a do tego czasu będą miały miejsce sondaż i przygotowania.

Tymczasem w Wiedniu zakończyła się 21 runda rokowań 19 państw na temat wzajemnej redukcji sił zbrojnych i zbrodni w Europie środkowej. Najważniejszym wydarzeniem tej rundy było zgłoszenie przez kręte socjalistyczne kompromisowej propozycji, sprzeczającej się do tego, że propozycja redukcji radziecko-amerykańskich zmieniają się w przybliżeniu z 2:1 na 3:1 na korzyść Zachodu. Również w dziedzinie kolektywnych pułapów liczebności wojsk poszliśmy na pewne ustępstwa. W sumie chodzi o stworzenie warunków postępu w rokowaniach.

Mimo środka lata w ONZ trwa sesja Zgromadzenia Ogólnego. Jest to sesja specjalna, poświęcona problemowi państwu. Pod koniec ub. tygodnia wystąpił na niej również przedstawiciel Polski.

Podstawa globalnego uregulowania wciąż niepokojącej sytuacji na Bliskim Wschodzie może być jedynie całkowite wycofanie wojsk izraelskich z wszystkich okupowanych ziem arabskich, realizacja prawa Palestyńczyków do samookreślenia utworzenia niepodległego państwa palestyńskiego oraz zapewnienie bezpieczeństwa wszystkim państwom tego regionu.

Niestety, prowadzona nadal przez Izrael agresywna polityka, poparcie dla niej Stanów Zjednoczonych oraz kapitulancie stanowisko rządu egipskiego sprawiają, że czas płynie, a pomyślnego rozwiązania problemu nie widać. Przedstawiciel Polski podkreślił konieczność wznowienia całościowego procesu negocjacji, gdyż tylko taki otwiera drogę do rzeczywistego pokoju na Bliskim Wschodzie.

Podczas gdy trwa omawiana debata — władze Izraela podjęły decyzję aby niektóre dalsze oficjalne agendy przenieść z Tel Awiwu do Jerozolimy. Prowokacyjny charakter tej decyzji nie ulega wątpliwości, chodzi o podkreślenie, że właśnie to miasto jest stolicą i utrwalenie okupacji arabskiej części Jerozolimy.

Przebieg tygodnia zakończył odnotowaniem przewrotu w Boliwii, w wyniku którego władzę przejął junta wojskowa. Ma ona zdecydowanie prawicowy charakter i radykalnie rozprawia się ze swymi przeciwnikami, którzy, jak donoszą agencje, stawiają jej zorganizowany opór.

W. SŁAWSKI

Dalszy ciąg ze str. 1

HEINRICH WINDELEN, inicjator dokumentacji „zbrodni” popełnionych na Niemcach — w roku 1975 mówił: — niemieckie podręczniki zbyt mało mówią o zbrodniach popełnionych na milionach Niemców w czasie II wojny światowej (...) dzieci w szkole nie uczą się już o tym, co to takiego w ogóle Niemcy (...), pokazuje się zakresowane tereny arabskie okupowane przez Izrael, ale nie pokazuje się w ten sposób Śląska, Pomorza i Prus Wschodnich. A gdzie leży w istocie różnica, która skłania (...) do tak subtelnych odróżnień.

H. SAUER, wiceprzewodniczący Unii Wypędzonych i Uciekinierów: organizacje przesiedleńcze i partię CDU—CSU razem z Francem Josefem Strausem dolożą starań, by idee wolności prawa i woli służyły jednemu Niemiec.

Oni tworzą elitę. Ziomkostw zrzeszonych w Federalnym Związku Wypędzonych (BdV) jest 20. Zrzeszonych w związkach krajowych — 11 (wliczając w to Berlin Zachodni). Liczba członków, według Edmunda Męciewskiego, przekracza 2.250 tysięcy.

Nazwy ziomkostw: „Prusy Wschodnie”, „Prusy Zachodnie”, „Gdańszczan”, „Pomorze”, „Wisła—Warta”, „Śląsk”, „Górnolazów”, „Niemców Sudeckich”, „Niemców z Litwy”, „Niemców Bałtyckich”, „Niemców Karpaccich”, „Niemców z Węgier”, „Niemców Bessaabskich”, „Niemców Dobrudzkich”, „Niemców z Rosji”, „Sasów Siedmiogrodzkich”, „Sasów Bukowińskich”, „Szwabów Nadunajskich”.

Do „Związku Wypędzonych” należą jako osoby prawne organizacje: „Niemiecka młodzież wschodu”, „Związek Kobiet: Strony Rodzinne i Prawo”, „Związek Chłopów — Wypędzonych”.

Czas dla nich zatrzymał się w 1937 roku. Dłatego: Szczecin — to Stettin, Gliwice — Gletwitz, Opole — Oppeln, Katowice — Kattowitz, Bytom — Beuthen, Bielsko-Biała — Bielitz-Biala, Zabrze — Hindenburg, Chorzów — Königshütte, Legnica — Liegnitz, Wrocław — Breslau, Gdańsk — Danzig.

Chcieliby cofnąć bieg historii i powtórnie uczynić „Die blutende deutsch — polnische grenze” — granicę niemiecko-polską krwawiącą. A więc taka, jaka była przez wieki.

To ci, którzy dokładnie rok temu chcieli przemycić w tekście ustawy o podatku obrotowym rewizjonistyczne akcenty i chcieli uczynić ze sprawy fiskalno-prawnej broń polityczną i tą bronią manipulować — oczywiście w antyodprężeniowym duchu. Dokładnie rok temu rząd federalny, wnosząc do Bundesratu projekt nowelizacji ustawy o podatku obrotowym, którą trzeba było dostosować do

przepisów Wspólnego Rynku, usiłował operować realiami polityczno-geograficznymi. Dawna ustawa z 15.11.1973 r. pod pojęciem kraj (Onland) rozumiała „obszar Rzeszy niemieckiej w granicach z 31 grudnia 1937 roku, z wyjątkiem wyłączeń celnych i obszarów wolnocelowych”. Zagranicą (Ausland) był „obszar, który odpowiednio do tego nie jest krajem”. Rząd federalny w nowelizacji usiłował operować realiami polityczno-geograficznymi.

„Pod pojęciem kraj (Inland) w duchu tej ustawy rozumie się obszar, na którym ustawa ma moc obowiązującą z wyjątkiem wyłączeń celnych i obszarów wolnocelowych. Zagranicą (Ausland) w duchu tej ustawy jest obszar, który nie jest krajem i nie należy do Niemieckiej Republiki Demokratycznej oraz do Berlina (Wschodniego)”.

Zawodowi rewizjonści, reprezentanci w Bundesradzie, który jest kontrolowany przez chrześcijańskich demokratów, dopatrzili się w ustawie „zamachu na prawne istnienie Rzeszy niemieckiej w granicach z 1937 roku” i postawili veto. Komisja rozjemcza, złożona z przedstawicieli obu izb, zakończyła sprawę zgłębieniem kompromisem, ustalając pojęcie „obszaru ściągania podatków” bez wymieniania granic z 1937 r.

Projekt federalnej ustawy „o wypędzonych” wniesiono do Bundestagu w 1951 roku. Potrzebę uchwalenia takiego aktu rząd Konrada Adenauera uzasadnił następująco:

„Niesłuszne jest uznawanie za wypędzonych lub uciekinierów jedynie osób, które żyły w okresie wypędzenia... W takim bowiem przypadku rozszerzenie do powrotu na strony rodzinne zostałoby ograniczone jedynie do pokolenia, które zostało wypędzone. Dzięki postanowieniom ustawy i jej paragrafu 7 zapewni się utrzymanie statusu wypędzonych i uciekinierów na pokolenia...”.

Ustawę przyjęto 19 maja 1953 roku, znaleziono 13 września 1971 roku, a więc w dziewięć miesięcy po podpisaniu grudniowego układu o podstawach normalizacji stosunków między Polską a RFN. Ten ostatni ważny akt polityczny o wybitnym znaczeniu międzynarodowym nie wpłynął jednak na zmianę rewizjonistycznego brzmienia i ducha ustawy. Mówi ona np. o „niemieckich obszarach wschodnich znajdujących się chwilowo pod obcą administracją”, jak i odróżnia „niemieckie obszary wschodnie pozostające chwilowo pod obcą administracją” od terenów Gdańska i Polski.

Ustawa przynosi też definicję „wypędzonego”. Jest nim ten, „kto po zakończeniu ogólnych akcji wypędzenia znajdujących się chwilowo pod obcą administracją niemieckich terenów wschodnich, Gdańska, Estonii, Łotwy, Litwy, Związku Radzieckiego, Cze-

„ZOSIA”

Dalszy ciąg ze str. 1

sytecka, szkolenie z bronią, które odbywało się na terenie wjeżdżania mokotowskiego, w mieszkaniu Krystyny Książarczyk.

Dzień 15 sierpnia 1940 roku był świętem żołnierza polskiego. Gęste patrole żandarmerii krążyły po mieście. „Zosia” wraz z Haliną Ogledzką i Marią Urbas, ubrane odświętnie, składają kwiaty na cokołe Pomnika Lotnika. Pamiętając zdjęcie wykonuje Maria Urbas. Dostrzega je patrol niemiecki. Uciekają w tłum, wskazują do tramwaju, który natychmiast rusza, mijając przystanek, przejeżdża nieco dalej, skąd, po gwałtownym zahamowaniu, uciekają do najbliższej bramy przechodni. Są uratowane. W następnym dniu prasa konspiracyjna opisała to zdarzenie.

W 1943 roku komendantka Wojskowej Służby Kobiet — Mokotów por. „Jadwiga” skierowała „Zosię” z patrolem do szpitala św. Rocha na Krakowskie Przedmieście, gdzie wraz z „Justyną” (Maria Maliszewska), „Teresą” (Maria Jełowicka), Wandą Lewandowską zdobywały praktykę ambulatoryjną i operacyjną. Szkoleniem kierowali m. in. dr Wiachno i dr Staszewski. W ramach akcji dywersyjnej powierzono „Zosi” kolportaż nielegalnej prasy dla Niemców. Rozprawiała ją w tramwajach nr 3 i 9, kursujących ulicą Rakowiecką.

Jednego razu „Zosia” starannie zamknęła drzwi od pomostu, położyła gazetki i usiadła z książką w ręku w głębi tramwaju. Wchodzi motorniczy, zakłada druciane okulary i spogląda to na gazetki, to na „Zosię”, skamieniając ze strachu. Te kil-

ka sekund wydawało się jej wiekiem. On pokiwał głową, uśmiechnął się i wyszedł. Zaraz też tramwaj ruszył, a na następnym przystanku Niemcy z zainteresowaniem czytali gazetki. Kiedy poleciono jej rozszerzyć kolportaż na niemieckie skrzynki listowe, „Zosia” wybrała ulicą Jaworzyńską, gdzie skrzynki miały konstrukcję umożliwiającą wrzucanie gazetki i listów przez otwór z zewnątrz.

Pewnego razu ledwie zdążyła wrzucić gazetki do skrzynki, gdy nakrył ją ogromny Niemiec. Nogi się pod nią ugłębły ze strachu. Odepchnęła go jednak i biegiem wypadła na ulicę. Dotarła do Mokotowskiej i kościoła Zbawiciela, przebiegła przez kościół na Marszałkowską i wskoczyła do pedzającego tramwaju.

Rok 1944 wypełniony był szkoleniem sanitarnym, kolportażem i gromadzeniem zapasów na okres powstania. Wybuch powstania poprzedził alert mobilizacyjny WSK. Tuż przed powstaniem zmienił się skład patrolu „Zosi”. Wchodzili do niego: „Lilka” (Jadwiga Kusior), Janina Chmura, Helenka, „Janka” (Janina Bogusz), łączniczka „Danka” (Danuta Karlikowska), „Danka” — sanitariuszka oraz Halina Ogledzka i sierpnia o godz. 14.30 przybyła do „Zosi” łączniczka z rozkazem dotyczącym godziny „W”, a polecającym patrolowi udać się na ulicę Racławicką.

Około 16.00 patrol doszedł na Słoneczną 17, gdzie „Zosia” otrzymała rozkaz sprowadzenia oddziału powstańczego z ul. Odolskiej. Na Odolskiej nie ma już poszukiwanego oddziału, poszedł do walki. „Zosia” wraca. Na rogu Puławskiej i Nar-

Kronika Kulturalna

BARBARA GORZYŃSKA, absolwentka PWSM w Łodzi, w klasie prof. Zenona Płoszaja, obecnie asystentka w teatrze uczelni, zdobyła I nagrodę w Międzynarodowym Konkursie Skrzypcowym im. Carla Flescha w Londynie. W jury konkursu zasiadali m. in. Yehudi Menuhin i Wanda Wiłkomirska.

B. Górzyska zdobyła poprzednio III nagrodę w Konkursie im. Wieniawskiego w Poznaniu oraz I nagrodę w Konkursie Szerynga w Zagrzebiu.

UROCZYSTYM KONCERTEM w przeddzień Święta 22 Lipca Zespół

Pięć lat minęło od helsińskiej Konferencji Bezpieczeństwa i Współpracy, która, jak wiadomo, doszła do skutku z inicjatywy krajów socjalistycznej wspólnoty, wspartej ostentacyjnie przez pozostałe państwa europejskie Stany Zjednoczone i Kanadę. Akt końcowy tej konferencji uznany został powszechnie za najważniejszy dokument naszej epoki, przyniosł bowiem zasady, którymi powinny kierować się państwa w swej polityce zagranicznej.

Ideę Helsinek znalazły włączając formę w licznych dwustronnych układach i porozumieniach, stymulowały tendencje odprężeniowe, korzystnie dla pokoju zmieniły sytuację w Europie i dodatkowo oddziaływały na sytuację w świecie.

Uzycie tutaj czasu przeszłego ma podkreślić fakt zakończenia pokojowego procesu przez siły zimnowojenne, które w Stanach Zjednoczonych zaczęły wpływać na ich politykę międzynarodową. Dlatego pod koniec ub. roku wzrosło

TYDZIEŃ W POLITYCE

napiecie w świecie, a pomyślnie rozwijający się dialog został zamrożony. Oczywiście, ani przez chwilę zasady KBWE nie straciły swej aktualności, choć niektóre państwa praktycznie w ostatnich miesiącach od nich odeszły. Tym bardziej uświadomiło to wagę tych zasad i ich znaczenie, konieczność przestrzegania pokojowych reguł rozwoju stosunków międzynarodowych.

Wiedomo, że siły przeciwnie odprężeniu nie złożyły broni nawet wtedy, kiedy powszechnie odeszono się z rezultatów helsińskiej konferencji. I wiadomo, że postanowiły przeszkodzić przede wszystkim odprężeniu militarnemu. Ale temat rozbrojenia nie można zdjąć z porządku dziennego, jeśli myślimy o logicznym i racjonalnym i odpowiedzialnym sporządzeniu perspektywy. Powraca więc on i dzisiaj.

W tym miejscu przejdźmy do drugiego tematu — zainteresowania, z jakim spotykała się nowe radzieckie propozycje odnoszące się do rozmów o raketach średniego zasięgu. Kontakty radziecko-amerykańskie w tej dziedzinie zostały wznowione, co jeszcze nie przesądza o porządku

Redaguje kolegium: JERZY WAWRZAK (redaktor naczelny), WŁODZIMIERZ STOKOWSKI, LUCJUSZ WŁODKOWSKI (z-cy redaktora naczelnego), JERZY KATARASINSKI (sekretarz redakcji) oraz zespół: RYSZARD BINKOWSKI, KONRAD FREIDLICH, MAŁGORZATA GOŁICKA, JACEK INDEIAK, EUGENIUSZ IWANICKI, RYSZARD LUCYSZYN (fotoreporter) BOGDA MADEJ, ANDRZEJ MAKOWIECKI, JERZY RYMOWSKI, TOMASZ SOLDENHOFF, GRAZYNA SZYPOWSKA (redaktor techniczny). Stałe współpracują: ANDRZEJ BLAJER, TADEUSZ BIAŁEJEWSKI, TADEUSZ CHRZOSCIŁEWSKI, GRZEGORZ GAZDA, ANDRZEJ F. GRABSKI, PAWEŁ JEDRZEJEWSKI, MARIA KĘPINSKA, WŁODZIMIERZ KRZEMINSKI, ZBIGNIEW S. NOWAK, EWA NURCZYŃSKA, WIADYŚŁAW PAŹŁOWSKI, JERZY PANASEWICZ, EWA PANIEWICZ, KRZYSZTOF POGORZELEC, WITOLD SŁAWSKI, TADEUSZ SZCZEPANSKI, JANUSZ SZYMANSKI-GLANC, JERZY WILMAŃSKI.

odgłosy

ehosłowacji i Węgier, Bułgarii, Jugosławii, Albanii lub Chin teny te opuścił lub opuszcza...".

A więc wszystko wrzucone do jednego kotła.

Zgodnie z biologicznymi prawami liczba „wyrznięć” powinna spadać. Tu jednak wskazówki biologicznego zegara obracają się w drugą stronę. Paragraf 7 powoduje, że dzieci urodzone już w RFN, a których ojciec, dziadek, matka byli wyrzniętymi, też można uznać za wyrzniętych. Liczba wyrzniętych powiększa się zatem o potomków „wyrzniętych”.

W tym kotle znajdują się także ci, którzy przyjechali do RFN w ramach humanitarnej akcji łączenia rodzin, będącej konsekwencją grudniowego

kość subwencji sięga kilkudziesięciu milionów marek. „Neue Kommentare” — biuletyn wychodzący we Frankfurcie nad Menem (kilka miesięcy temu przestał, po 22 latach, być wydawany), w lutym 1980 roku podał szczegółowe zestawienia kwot przeznaczonych na działalność rewizjonistyczną w budżetach krajowych. Po szczególne kraje RFN, nie licząc dotacji z puli rządu federalnego, przeznaczają rocznie na potrzeby tych organizacji około 20 mln marek. Kwoty przeznaczone na te cele w budżecie rządu Bawarii czy Dolnej Saksonii są w 1980 roku wyższe od sum wydatkowanych w roku 1979. Nadrenia Północna-Westfalia przeznaczyła w 1979 roku na potrzeby

finansuje się te organizacje rewizjonistyczne, przypisać należy bądź to bezmyślności, bądź też poparci dla polityki rewizjonizmu”. „Welt der Arbeit”, w pierwszym numerze majowym z 1973 roku, napisała, że różne fundacje, instytuty badawcze czy archiwum zajmujące się rewizjonistycznym „badaniem wschodu”, otrzymują dodatkowo dotacje. „Nie ma mowy — doniosło pismo — o pielęgnowaniu wschodniemieckich dóbr kulturalnych. Ponieważ jednak związki przesiedleńcze chcą otrzymać pieniądze, znalazły na to sposób — imprezy polityczne, jak wiecze czy konferencje, wiążą z wystąpieniami w strojach ludowych...”. Nad organizacją Niemców Sudec-

na siebie obowiązki mówić za wszystkich Europejczyków. Ta Europa, jakiej my chcemy, ma być wspólnotą dla wszystkich Europejczyków, również dla tych, którzy żyją w niewoli”. Strauss przypomina dalej rządowi RFN — stwierdza z zadowoleniem „Der Schlesier” — konieczność trzymania się „konstytucyjnej zasady zjednoczenia całych Niemiec”. Strauss broni wreszcie rewizjonistów przed zarzutami nacjonalizmu i odwetu. Jego bowiem zdaniem „ich działania są naturalnym dążeniem do przywrócenia prawa w polityce międzynarodowej i wyrównania krzywd, które spotkały niewinną ludność niemiecką na Wschodzie”. W tonacji Straussa przemawiano także na 80-tysięcznym zlocie Ziomkostwa Prus Wschodnich, gdzie domagano się, aby rząd, władze państwowe i szkolnictwo czyniły więcej dla podtrzymania wśród Niemców w RFN i poza jej granicami świadomości jedności narodowej i państwowej. „Bawaria wiernie stoi po Waszej stronie — mówił w imieniu Straussa jego minister, F. Pirkel — i ona oraz jej rząd mają pełne zrozumienie dla żądań zwrotu wschodniemieckich ziem ojczystych”.

Na ziomkowskich mityngach Strauss bądź sam uczestniczy, bądź wysyła na nie swoich ministrów: F. Pirkla, F. Neubauera, czy ministra oświaty, Hansa Maiera. W rewizjonistycznych zapędach Strauss przechodzi samego siebie i swoich podopiecznych. Jako premier wydaje rygorystyczne zalecenie wycofania z podręczników szkolnych, z atlasów i z biur wszystkich map poprawnie przedstawiających powojenne granice Europy. Dla Straussa „tamte” ziemie są oczywiście bezprawnie okupowane. Z premedytacją prowadzi politykę rewizjonizmu i absurdalnych poczynań, godzących w istniejące układy i pokój w Europie. Pisze w miesięczniku teoretycznym CSU „Politische Studien”, w 35 lat po wojnie, że podstawą interpretacyjną w sprawie granic nie powinny być układy normalizacyjne zawarte przez kraje socjalistyczne z RFN, lecz rewizjonistyczne orzeczenia Trybunału Konstytucyjnego, które „należy częściej wykorzystywać w codziennej praktyce politycznej”.

Oto zasadnicza formuła towarzysząca orzeczeniom Trybunału, gdy chodzi o Polskę, NRD i inne kraje socjalistyczne:

„W sensie prawnym Rzesza niemiecka istnieje nadal, a granice między Republiką Federalną a NRD mają podobną kwalifikację prawną, co między prowincjami (landami) Republiki Federalnej”.

Popatrzmy też na orzeczenie Trybunału z 31 lipca 1973 roku, a więc po roku obowiązywania układów wschodnich:

„Ustawa zasadnicza — a nie tylko

teza nauki prawa międzynarodowego i nauki prawa państwowego — zakłada, że Rzesza niemiecka przetrwała klęskę 1945 roku i nie upadła z chwilą kapitulacji ani wskutek sprawowania w Niemczech władzy państwowej przez sojuszników mocarstwa okupacyjne, ani później (...). Rzesza niemiecka istnieje nadal, nadal posiada zdolność prawną, jednakże jako całe państwo sama nie jest zdolna do działania z powodu braku instytucjonalizowanych organów (...). Republika Federalna Niemiec nie jest więc „sukcesorem prawnym Rzeszy niemieckiej”, lecz jako państwo jest identyczna z państwem „Rzesza niemiecka”...

Do rewizjonistycznej polityki miesza się także najwyższy w państwie doktrynalny organ strzeżenia i wykładni prawa. Dochodzą do tego komórki organizacyjne miasta i powiatów. Tym ostatnim patronatom towarzyszą świadczenia finansowe w postaci dotacji, nagród w konkursach wiedzy „o naszych wschodnich ziemiach”, subwencji, oddawaniu bezpłatnie w użytkowanie budynków, w których by można było pielęgnować w cnotę i patriotyzmie kult przeszłości, która powinna być — w ich założeniach — teraźniejszością prawnie uzasadnioną.

Ruch patronacki znajduje przychylny grunt w Bundeswehrze. Oto przykład z ostatnich miesięcy: w koszarach 193 batalionu grenadierów pancernych w Handorf, patronującego tradycjom dawnego 1 pułku piechoty odbyła się wspólna impreza byłych żołnierzy Wehrmachtu i młodych żołnierzy Bundeswehry, na której przemawiał dowódca batalionu, płk Grenda. Patronat nad imprezą — zorganizowaną w imię „odzyskania Prus Wschodnich i restytucji Rzeszy w granicach z 1937 roku” — objęły władze miejskie, by „na nowo ożywić związki z dawnym garnizonem w Królewcem”.

Sięgniemy raz jeszcze do „Neue Kommentare” z sierpnia 1979 roku: „Sily rewizjonistyczne i wrocie odprężeniu w RFN stawały w ostatnich miesiącach zuchwale i bardziej prowokacyjnie niż w ubiegłych dziesięciu latach roszczenia terytorialne wobec sąsiednich krajów socjalistycznych. Kierownictwo siły organizacji rewizjonistycznych w znowie z wpływowymi politykami CDU/CSU traktują układy zawarte przez Republikę Federalną Niemiec jako świątki papieru. Wyraża stąd się intencja CDU i CSU, by z pomocą rewizjonistycznych i neofaszystowskich organizacji wrócić nasz kraj na powrót w okopy zimnej wojny”.

I ten akcent wydaje się optymistyczny: „NEIN KEIN ZURUCK ZUM KALTEN KRIEG”.

WACŁAW OPACKI

ZNOWU W NATARCIE

układu o podstawach normalizacji stosunków. Herbert Czaja utrzymuje: „Rząd federalny nie powinien ustępować przed komunistyczną ingerencją polską w niemieckie ustawodawstwo. Ani Niemców, którzy już przybyli, ani tych, którzy jeszcze przybędą w przyszłości, nie można pozbawiać statusu wyrzniętych. Ludzie, którzy przyjechali w ramach akcji łączenia rodzin, żyli w Polsce w warunkach sprzecznych z godnością i prawami człowieka, a wyjeżdżają dlatego, że ich osobista, rodzinna i narodowa sytuacja jest nieznosna... Gdyby Niemcom mieszkającym w Polsce przyznano prawa mniejszościowe, jak zagwarantowanie nauki języka, pielęgnowania kultury i życia społecznego — wówczas odpadłyby przyczyny uzasadniające ich wyjazd...”.

W 1977 roku ustawa o wyrzniętych miała być z inicjatywy koalicji FDP spłać znowelizowana — w duchu układu z 1970 roku. Do tego jednak nie doszło. Rząd federalny upoważnił wprawdzie ówczesnego federalnego ministra spraw wewnętrznych, Wernera Maihofera, do wystawiania dowodów „prześledzonych”, a nie — „wyrzniętych”. Dla Maihofera upoważnienie to nie było zobowiązujące, dlatego też i formuła stara „wyrzniętych”, tak więc i „Recht auf die Heimat” (prawo do rodzinnych stron) — pozostały.

Działalność organizacji ziomkowskich wspierana jest przez skarb federalny jak i krajowy — co jest zgodne z paragrafem 96 przytoczonej wyżej ustawy o „wyrzniętych”. Wiel-

ziomkostw kwotę 6 mln marek. Podobnie Hesja. Wymowny jest fakt, że kraje te rządzone są przez SPD.

Do końca 1974 roku fundusze przeznaczone dla organizacji przesiedleńczych były pozycją budżetową utajnioną i kontrolowane były — zamiast pełnej kontroli parlamentu — przez 8-osobową komisję parlamentarną. Odtajnienie było li tylko krokiem formalnym, nie mającym praktycznego pokrycia. Na rok 1975 przeznaczono np. oficjalnie dla tych organizacji kwotę 1,4 mln marek, podczas gdy pobieżne przeliczenie innych kont resortu zajmującego się „sprawami wewnętrznymi” nakazywałoby doliczyć co najmniej 40 mln marek.

Taka postawa koalicji, SPD FDP będącej u władzy i odpowiedzialnej za pomyślny rozwój procesu normalizacji — wydaje się niezrozumiała. W czasie, gdy koalicja miała ogromną przewagę w parlamencie (w latach 72—76 aż 42 mandaty), była możliwość przegłosowania niektórych ustaw mających antyodprężeniowy charakter. Jednak tego nie uczyniła. Zauważmy, że — za socjaldemokratycznym tygodnikiem „Nordwoche” z 1970 roku stwierdzenie, że „wściekłe ataki na rząd są w znacznym stopniu finansowane także z budżetu państwa”. Swoisty paradoks zauważyła także springerowska „Die Welt” (14.01.1973 r.):

„Pod pojęciem pojednania z sąsiadami rozumieją oni głównie konkretne roszczenia terytorialne i żądania odszkodowań za „nieszczęście wyrznięcia”. Fakt, że ze środków państwowych — federalnych, krajowych —

kich licząca 300 tys. członków sprawuje od 1954 roku patronat rząd Bawarii. W praktyce polega on na finansowaniu przez rząd krajowy działalności ziomkostwa, budowie Centrum Sudeckiego za 20 mln marek, pomocy materialnej przy organizowaniu zjazdów i masówek przebiegających pod odwetowymi hasłami. W 1978 roku rząd Bawarii objął patronat nad Ziomkostwem Prus Wschodnich. Na okolicznościowej uroczystości ówczesny premier Bawarii, Alfons Goppel, zarazem przewodniczący Unii Panaeuropejskiej Niemiec, w uzasadnieniu swej decyzji powołał się na „wiekowe więzy łączące Bawarię z Prusami Wschodnimi”. Dodał także, że patronat odnosi się nie tylko do spuścizny kulturalnej ziomkostwa, lecz także do żądań powrotu na ziemie ojczyste.

Organizacje przesiedleńcze nie mają nigdzie tak dogodnych warunków, jak w Bawarii. Nikt by takim stanem rzeczy się nie dziwił, jeśli by wiedział, że czołowi rewizjonści są zarazem czołowymi politykami Unii Chrześcijańsko-Społecznej, a także zapisali się w historii powiązaniami z hitlerowską narodowosocjalistyczną partią. Wystarczy wymienić takie nazwiska, jak: W. Becher, O. von Bismarck, W. Jahn, S. Stein, H. Starke czy F. Wittmann.

Opiętnom rewizjonistów przewodzi sam F. J. Strauss. Oto próbka jego politycznego credo wygłoszona na zjeździe „Niemców Sudeckich” w Monachium w 1979 roku: „Dla nas Węgry, Czechosłowacja, Polska i inne kraje należą do Europy. Wzięliśmy

bitła wre walka. Mieszkańcy przemocą wciągają ją do bramy i barykadują się. Przed bramą Niemcy rozstrzelują złapanych powstańców.

Ze świtem „Zosia” rusza do swoich. Biegnie ulicą ostrzeliwana przez Niemców. Na Olszewskiej potyka się o trupa i wywraca. Seria z kaemu posła nad nią. Miała szczęście. Dociera wreszcie na ul. Słoneczną.

2.

14 sierpnia nieprzyjacieli zarzucił Mokotów ogniem moździerzy salwowych, artylerii, granatników... Powstały liczne pożary i było wielu zabitych i rannych. Odparto lokalne natarcie Niemców. Odnaleziono magazyny i umundurowano jednolicie w kombinie żołnierzy. Odbyła się msza w szpitalu siostr Elżbietanek.

— Jesteśmy na skrawku wolnej Ojczyzny — mówili dziewczęta.

Ciężkie walki zaczęły się od 19 sierpnia na Mokotowie. Patrole sanitarne teraz bezpośrednio uczestniczyły w szturmach. 26 sierpnia Niemcy rozpoczęli ostrzeliwanie Mokotowa z moździerzy i armat. Ogień artylerii trwał całą noc. Zandarmi z Dworkowej ostrzeliwali Dolną i Chełmską. Woń spalenizny i rozkładających się ciał towarzyszyła żołnierzom idącym do natarcia. „Zosia” wraz z „Sawą”, „Marysią” i „Małym” ruszyła wzdłuż Zakrzęskiej ku Siedleckiej. Niemcy położyli gęsty ogień zaporowy z granatników. Wśród huku pękających granatów, świstu fruwających odłamków i gwizdu kul nacierali powstańcy. „Zosia”, „Sawa”, „Marysia” i „Mały” z pola walki zbierali rannych. Szurm powstańców został zatrzymany. Poszło przeciwnatarcie wroga.

Ktoś dał znać że wrog opuścił pozycję przy ul. Siedleckiej. Powstańcy poszli i zajęli narożny budynek. Zdobyli dużo materiałów sanitarnych, narzędzi chirurgicznych, denaturatu. Patrol „Zosi” natychmiast organizuje w piwnicy punkt opatrunkowy.

Idą do szturmu Niemcy. Na przedpolu leży ranny powstańca. Jego jeńki powodują, że „Zosia” z „Sawą”, nie zważając na idących do szturmu

Niemców, dopadają z noszami do rannego i na oczach zdumionych żołnierzy zabierają rannego. Jeszcze tylko kilka kroków. Wybuch pocisk z granatnika. Rozrywa rannemu brzuch. Zosia kłeka, aplikuje morfinę. Ranny umiera. Niemcy są blisko, ale do dziewcząt nie strzelają.

Do akcji wchodzi z czołgi wroga. Odparto je. Sanitariuszki donoszą żywność, zabierają rannych. Została ciężko ranna sanitariuszka „Proch”. Była tak naszpikowana żelaztem, że „Zosia” usuwała jej odłamki bez znieczulenia. „Proch” (Zofia Kłos) krzyczała z bólu, mdlała, bredziła. „Zosia” dała jej zastrzyk i przesiadała do szpitala na Chełmską.

„Gryf” zaproponował złuzowanie patrolu „Zosi”. „Zosia” została. „Sawa” i „Storczyk” poszły do szpitala. Rozpoczęło się akurat bombardowanie. Szpital ponał. Ranni skakali z pięter, łamiąc sobie nogi i ręce. Ktoś krzyczał: dobić rannych. Nie ma dla nich ratunku! Pod gruzami zginęła „Sawa”.

„Zosia” przeniosła punkt opatrunkowy na ul. Chełmską 12. Dr „Stawek” polecił udać się po bandaża na Górny Mokotów. Poszły: „Zosia”, „Lilka” i „Longinus” (Aleksander Kowalewski). Doszli wśród wybuchających pocisków, bomb i toczącej się walki. Dostali lekarstwa, morfinę, opium, bandaż. Od „Jumbo” dowiedzieli się, że padła Sadyba, a ludność ucieka przez pola, bombardowana i ostrzeliwana z samolotów. Po drodze pomagają ludziom. Wokół kościoła św. Kazimierza pełno rannych. Bandażują, aplikują środki znieczulające. W altance spotykają dwie kobiety. Proszą o pomoc. Trzecia coś pitaś na „kozio”. Uderza pocisk, zabija wszystkie trzy i... ciężko rani „Lilkę” i „Zosię”. Ta, nie czując bólu, wbiega do kościoła i organizuje pomoc koleżance. Ma straszny staw łokciowy, krwawi. Odłamki poraniły jej twarz szyję, nogi. Ręka zwisa bezzwładnie. Żołnierze przynoszą ranną „Lilkę”. Aplikują sobie opium i zasypiają.

3.

Następnego dnia przeniesiono je do szpitala, na Dolną. Na drugi dzień dr Zawadzki usunął odłamki



Warszawa, sierpień 1944

Foto: Archiwum

bez znieczulenia. Cały przyniesiony przez nie zapas lekarstw otrzymuje dr „Stawek”. Za swoją odwagę otrzymał Krzyż Walecznych. Szpital ewakuowano z Dolnej na Radawicką, a następnie na ul. Misyjną.

Pojawiła się gangrena.

Żołnierze zabrali „Zosi” i rannym legitymacje, furażerki, opaski i spalił W nocy weszli Niemcy. Rozstrzelali ciężko rannych. Mijały godziny, bez wody, jedzenia i opieki. Wszyscy byli przeświadczeni, że lada moment spalą ich żywem. 30 września do piwnicy przyszedł von den Bach. Zapytał, czemu tkwią w tak potwornych warunkach, dlaczego brak im flagi Czerwonego Krzyża. Powiedzieli mu, co zrobili Niemcy. Zarządził ewakuację.

Na Torach Węscigowych na Służewcu ludzie podawali cebule, pomidory, wodę... Nocowano w stajniach. Rano wyniesiono chorych, lecz... zostawiono „Zosię” i „Dolores” bez nogi. Od nich fetor był tak straszny, że ludzie zasłaniali twarz. Wyniosł je przed stajnię i tak uratował im życie młody lotnik niemiecki. Zaledwie do wagonów i wywieziono do Pruszkowa.

Harczerze przynieśli „Zosię” pod szpital. Wyszedł prof. dr Krotowski. Była naga, cała w ropie, z rojem much, wokół niej był przeraźliwy fetor. Profesor dał znak. Zaniesli ją na salę opatrunkową. „Marysia” (Maria Buczkowska) poznała ją i zawołała lekarza.

— Natychmiast na operację — za-

decydował. Sian jej był bardzo ciężki. Zdecydowano amputować rękę. Wybagała dzień zwłoki. Obudziła się w potwornych bólach. Przybiegli dr Krotowski. Twarz mu się rozjaśniła.

— Robak! Zachowasz rękę.

Odnalazła ją rodzina. Ale też i zainteresowało się nią Gestapo. Przez jakiś czas była jeszcze w szpitalu w Żyrardowie. W połowie stycznia 1944 roku musiała jednak „Zosia” uciekać ze szpitala. Gestapo ponownie się nią zainteresowało.

Rodzina wywiozła ją do leśniczówki, gdzie doczekała wolności.

JANUSZ WIŚNIEWSKI

MAŁGORZATA
GOLICKA

S.O.S.

Z WYSPY ŚMIERCI



Foto: M. Korczak-Idziński

— Musimy sobie odpowiedzieć uczciwie na pytanie: co robimy, aby położyć kres tym działaniom, przez które cywilizacja zaprowadziła ludzką do ślepego zaułku — zwracał się do licznie zgromadzonych słuchaczy siedzący prof. Julian Aleksandrowicz.

Podobnych pytań usłyszeliśmy tego dnia sporo. I choć wizja najsłabszego ze światów, rysująca się w wyniku badań naukowców, daleka była od biblijnego raju, nie posadzały uczonych o złowieszcze przepowiednie. Traktujemy je raczej jako pełen trwogi dzwon na alarm, czerwone światło nakazujące zatrzymać się w pół drogi. Szkoda wielka, że konferencje naukowe kwitują się u nas zaledwie kilku zdawkowymi zdaniem w porannych dziennikach. Ta, w której brałam udział, mogłaby być z powodzeniem transmitowana przez telewizję z pożytkiem dla programu i telewidzów. Celowo piszę o niej teraz, w lecie, (konferencja odbyła się w końcu kwietnia w Krakowie), kiedy większość z nas ma bliższy kontakt z przyrodą, a urlop pozwala na luksus rozmyślań.

Była to już druga konferencja naukowa na temat „Kryzys ekologiczny środowiska zagrożeniem zdrowia i sprawności fizycznej”, zorganizowana przez Akademię Wychowania Fizycznego im. B. Czecha w Krakowie, przy współudziale krakowskiej Rady Związków Zawodowych, Polskiego Towarzystwa Nauk Weterynaryjnych i Przemysłowego Specjalistycznego ZOZ w Krakowie. Do udziału w konferencji organizatorzy, z prof. prof., Martą Doleżal i Marianną Doleżal na czele, dzięki którym konferencja w ogóle doszła do skutku, zaprosili przedstawicieli różnych dyscyplin naukowych. Skonfrontowanie opinii na ten sam temat przez lekarzy, mikrobiologów, weterynarzy, chemików, geografów, psychologów i socjologów, nie tylko pozwoliło uzyskać szeroki, wszechstronny obraz sytuacji, ale także zmusiło uczestników obrad do zaniechania hermetycznego języka swych dyscyplin. Podczas obrad plenarnych udowodniono, że mimo ścisłej specjalizacji nauka może dziś przemawiać językiem uniwersalnym, zrozumiałym dla innych. Także nadzwyczaj często twierdzenie o potrzebie integracji nauk i prowadzenie wspólnych badań na-

brało tu głębszego znaczenia. Były to więc dodatkowe sukcesy krakowskiej konferencji.

WYSPY ŚMIERCI

Takim mianem określa się coraz częściej wielkie miasta, w których występuje zachwianie naturalnej równowagi geograficznej i biologicznej. Na liście zakłóceń wymienić należy: skażenie i zanieczyszczenie powietrza, wód powierzchniowych i podziemnych, zaburzenie naturalnych stosunków wodnych, degradację i skażenie gleb, zniszczenie szaty roślinnej, zakłócenia klimatu, a także hałas i wibracje. Zachwianie równowagi któregośkolwiek z naturalnych czynników nie jest bez wpływu na nasze zdrowie i sprawność fizyczną. Weźmy dla przykładu zapylenie powietrza. Dwa lata temu w Polsce spadało 2.240 tysięcy ton różnego rodzaju zanieczyszczeń. Ilość ta ciągle wzrasta, a w uprzemysłowionych rejonach kraju, np. na Śląsku czy Nowej Hucie, ilość pyłów spadających na km kw. sięga w ciągu roku nawet tysiąca ton. Nie trzeba zbyt wielkiej wyobraźni, żeby uprzytomnić sobie, jaki wpływ na zdrowie człowieka ma życie w takim zanieczyszczonym powietrzu. Co piąty chory Polak cierpi na przewlekłe schorzenia układu oddechowego, a dolegliwość ta trapi około 15 proc. mężczyzn i 5 proc. kobiet. 20 proc. absencji z powodu niezdolności i 14 proc. inwalidztwa do pracy spowodowanych jest schorzeniami tego typu.

Nieomal każde, najmniejsze nawet, zachwianie równowagi biologicznej, ma wpływ na żywe organizmy. Na przykład po stanie zębów i chorobach jamy ustnej można określić miejsce zamieszkania pacjenta. Stan roślin w wielkich miastach i ich okres wegetacji wyraźnie wskazuje stopień i rodzaj przemysłowego zanieczyszczenia w mieście. Zwykła trawa, rosnąca na trawnikach w pobliżu zakładów przemysłowych, jest szkodliwa dla zwierząt, podobnie jak np. kwiaty dobroczynnej skądinąd lipy, zerwane z wielkomiejskich drzew! Alergie — plaga naszych czasów, to także wynik działania na organizm ludzki różnorodnych czynników mechanicznych i chemicznych. Dla dermatologów informacją o za-

burzeniach środowiska jest stan skóry pacjentów i wzrost zachorowań na określone choroby, powodowane bardzo często używaniem na przykład chemicznych środków w gospodarstwie domowym. Słynne badania prof. Juliana Aleksandrowicza udowodniły związki między chorobami nieuleczalnymi, w tym wypadku bliznami, a skażeniem mieszkań grzybami o rakotwórczych właściwościach. Chorują więc ludzie, chorują i zwierzęta. Wytwarza się swoiste błędne koło. Zwierzęta spożywają skażoną paszę, a ludzie odżywiają się skażonymi produktami roślinnymi i zwierzęcymi.

Dość. Nie zamierzam zachęcać czytelników do przeklinania czasów, w których się urodzili. Nie przesadzajmy. Równie groźne były do XVIII wieku epidemie dżumy i cholery, a ścieki miast pozbawionych kanalizacji, szczyry, muchy i brud niosły równie wielkie niebezpieczeństwa, jak produkty współczesnej cywilizacji.

NA RATUNEK

Uczestnicy konferencji nie poprzestali oczywiście na groźnym wyliczeniu skutków zanieczyszczenia środowiska. Efektem obrad jest długa lista wniosków skierowanych do licznych resortów i instytucji. Charakterystyczne, iż uczestnicy konferencji, w większości reprezentanci nauk przyrodniczych, oddali przewodnicząco końcowych obrad socjologowi, prof. Zbigniewowi Wierzbickiemu z Instytutu Filozofii i Socjologii PAN w Warszawie, sugerując, aby jego referat na temat równowagi ekologicznej i równowagi społecznej potraktowano w całości jako obowiązkową lekturę dla administracji.

Ta interdyscyplinarna konferencja obalila m. in. kilka funkcjonujących stereotypów. Między innymi ten, iż technika może naprawić to, co niszczy. Nieprawda! Okazuje się, że wielu spowodowanych nierozważnym postępowaniem strat nie jesteśmy już w stanie naprawić. Człowiek nie może także eksploatować przyrody bez końca.

Konferencja uprzytomniła jednocześnie bardzo gorzką prawdę, ukazując długoletnie, niestety, jak dotąd, bezskuteczne starania naukowców i prawników o położenie kresu

Dokończenie ze str. 1

ła się nad wykopem, ale jej mąż ze zniecierpliwieniem pociągnął ją za rękę mówiąc: Daj spokój, to jakaś lalka.

— Szliśmy do sklepu — mówi Kazimierz Wypych — a kiedy doszliśmy do wykopu, to mój kolega Wacek mówi, ty popatrz, to chyba lalka, ja się patrzę i mówię, co ty, to dziecko, popatrz główka w wodzie, nóżki też, tylko plecki wystają.

— Ja mówię, Kazik, ty pedz dzwonić po pogotowie, a ja je wyciągnę. Tam było z dwa metry głęboko, więc zdjąłem buty i deska, co ja budowlani niby odgradzili wykop, przyciągnąłem dziecko bliżej, a potem je wyniosłem na brzeg. Szum się zaraz zrobił, zbiegli się ludzie, pytają co i jak. W końcu przybiegli rodzice, mieszkają tu na Przedzalanianej pod 12 i krzyczą, że to ich Monika. A tamto małżeństwo, co szło przedem, też się zatrzymało. Ona mówi: Od razu wiedziałam, że to dziecko, ale on ofuknął ją, by nie gadała i zaraz sobie poszli.

— Małutka była, zaledwie 4,5 roku. Pewnie bawiła się nad wykopem.

— Jak przyjechało pogotowie, to doktorka powiedziała, że jest już za późno.

— Tamtędy, panie, wszyscy chodzą, wykop nie był odgradzony, w ogóle nie tam nie było, nawet napisów ostrzegawczych. Mojej siostry dziecko wpadło do tych wykopów i leżało przez tydzień w szpitalu. Nie utonęło, bo to chłopak co ma już 7 lat. Myśli pan, że oni się tym przejęli? Dopiero jak utopiła się ta druga dziewczynka, ogrodzili, zrobili nawet porządek.

TOPOGRAFIA

Ulica Nowa. Pod nr 13 mieści się LO im. G. Narutowicza, pod nr 15 — przechodziła ZOZ Łódź-Widzew. Przedtem obie te posesje na zaplecze nie były niczym od siebie odgradzone, jak nie było odgradzone podwórze posesji nr 12 leżącej przy ul. Przedzalanianej. Zanim jeszcze zaczęto prowadzić prace ziemne pod ciąg ciepłowniczy wiodło tedy skrócone przejście z Nowej na Przedzalanianą i z powrotem. Kiedy w kwietniu 1980 r. rozpoczęto tu roboty ziemne nikomu nie przyszło do głowy by zagrozić nielegalne przejście. Ponieważ koparka wyrzuciła sporo piachu i gliny, na teren robót ziemnych przychodzili dzieci z okolicznych domów, zarówno z Nowej jak i z Przedzalanianej. Robotnicy, po zakończeniu dnia pracy odchodzili, wykop i rowy pod ciąg ciepłowniczy pozostawiali bez nadzoru.

Oto „Dziennik budowy — część II, nazwa i oznaczenie obiektu budowlanego — Nowa nr 15. Kierownik budowy — Ryszard Lis, inspektor nadzoru — Włodzisław Muszyński”.

27 kwietnia 1980 r. — Rozpoczęto roboty ciepłownicze (ciąg).

30 kwietnia 1980 r. — Wykonywanie wykopu koparką pod ciąg ciepłowniczy.

3 maja 1980 r. — Proszę ustawić na całej długości wykopu zastawy zabezpieczające.

8 maja 1980 r. — Kontrola robót.

10 maja 1980 r. — Przygotowanie dna wykopu pod podkład betonowy.

12 maja 1980 r. — Na budowie pracuje 3 ludzi (podpis inspektora nadzoru).

Wreszcie w dniu 21 maja 1980 r. pisze kierownik budowy Ryszard Lis: Zgodnie z zapisem inspektora nadzoru z dnia 3 maja 1980 r. wyjaśniam, że wykopy są zabezpieczane każdorazowo po zakończeniu pracy przez pracowników Miejskiego Przedsiębiorstwa Instalacyjnego. Jednocześnie sygnalizuję, iż ogrodzenia te są dewastowane przez nieznane osoby.

Przesłuchani przez Prokuraturę Rejonową dla Łodzi Widzewa, pracownicy MPI stwierdzili:

Bogusław Szymanek — zastępca dyr. d/s technicznych MPI: — Osobiście na tej budowie nie byłem. Nie znany był mi fakt, wpadnięcia do wykopu prowadzonego przez nasze przedsiębiorstwo dziecka i przebywania przez nie w szpitalu. Pierwszym sygnałem z tej budowy było zgłoszenie o wypadku śmiertelnym dziecka na terenie budowy. Natychmiast po otrzymaniu tej wiadomości poleciłem inspektorowi bhp Wiesławowi Kolałowi oraz Andrzejowi Drzewieckiemu (główny inżynier d/s produkcji) ustalenie bliższych okoliczności zdarzenia. Przekazali mi oni informację, że dziecko wpadło lub weszło do wykopu komory ciepłowniczej i, że wg oświadczenia innych osób było w towarzystwie brata, który o wypadku nikogo nie powiadomił. Stwierdziłem, że wykop był obariowany, lecz bariery uległy za sprawą osób postronnych częściowej dewastacji. Oświadczyli również, że wykop posiada zabezpieczenie z zastaw drogowych umocowanych na szpilach metalowych od strony południowej, zaś ze strony północnej znajduje się ziemia pochodząca z wykopu. Na moje pytanie, czy było to właściwe zabezpieczenie, oświadczyli, że dyrektor szkoły, która brała udział w przekazywaniu terenu pod budowę powiedział, że młodzież szkolna nie korzysta z tego terenu. O ludziach z sąsiadującej z wykopem posesji nie mi nie mówili...

Byłem na budowie 6 czerwca 1980 roku około godz. 16 i stwierdziłem fakt wykonywania prac oraz zastawienie — zabezpieczenie wykopów zastawami. Napisów ostrzegawczych w formie wywieszek nie widziałem. Na sam fakt braku napisów nie zwróciłem uwagi. Widziałem przejścia na teren budowy od strony ulic Przedzalanianej i Nowej i nie podjąłem

ny zastawami i tablicami ostrzegawczymi, ale ludzie chodzili tamtędy i wszystko zdewastowali.

Ryszard Lis — kierownik robót instalacyjnych: — Komora została zabezpieczona za pomocą zastaw składających się ze szpil, na które założone są zastawy drewniane i metalowe i pomalowane na kolor biało-czerwony. Założono je od strony po-

GŁĘBOKI WYKOP

decyzji o zagrozeniu terenu. Nie zwróciłem uwagi na istniejącą w ten sposób możliwość odizolowania terenu od posesji przy ul. Przedzalanianej 12, koncentrowałem się na zabezpieczeniu wykopu. Zwróciłem uwagę, że wykop obiektowy jest nieosładowany, mimo, iż w myśl obowiązujących przepisów — Rozporządzenie ministra budownictwa z 1972 r. — szalunek winien być zrobiony. Wychodząc z terenu budowy oświadczyłem Kolałowi i Drzewieckiemu, aby w sposób należyty obiekt zabezpieczyli. Dyskutując nad kwestią przykrycia wykopu obiektowego balami, doszliśmy do przekonania, że nie było to niezbędne. Wznagając tempo robót uważaliśmy, iż przykrycie wykopu balami nie jest w chwili obecnej również niezbędne. Zadaniem bariery jest zasygnalizowanie istnienia wykopu, zadaniem zakrycia wykopu jest zapobiegnięcie wpadnięcia do wykopu. Na pytanie, czy w związku z powyższym nie należałoby jednak zalecić przykrycie wykopu, stwierdzam, iż wówczas musiałbym wydać polecenie zakrycia wszystkich wykopów w Łodzi.

Stanisław Balcerzak — kierownik grupy robót: — Sprawa zabezpieczenia wykopów jest w gestii kierownika robót i mistrzów. Ostatnio na tej budowie byłem chyba w kwietniu, dobrze nie pamiętam, od tamtego czasu tu nie zaglądałem. Takich budów nadzoruję około setki. Obecne zabezpieczenie wykopu uważam za prawidłowe i nie ma potrzeby zabezpieczania komory, nawet wtedy, gdy nie są tam prowadzone prace.

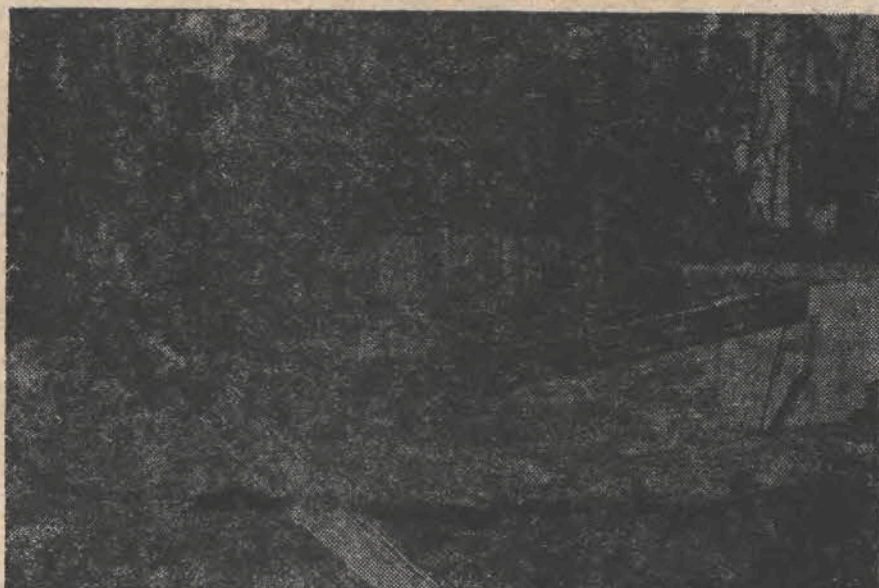
Bogdan Papuga — mistrz brazy Stanisław Wielgosz — byrgadzista, twierdzą, że wykop był zabezpieczo-

niem i wschodniej, częściowo też od południowo-zachodniej. Ale ludzie wszystko zdewastowali.

Wiesław Kolał — specjalista d/s bhp: — Wykop z rurami nie był osładowany i wykop pod komorę również. Oznakowań świetlnych nie było, tablice ostrzegawcze nie widziałem. Uważam, że obowiązkiem przykrycia balami wykopu istnieje w sytuacjach szczególnego zagrożenia np. na i przy przejściach w bramach, korytarzach. Tego terenu nie można uznać za szczególnie niebezpieczny.

Z powyższych oświadczeń wynika,

że właściwie nie było żadnych uchybień ze strony Miejskiego Przedsiębiorstwa Instalacyjnego, bowiem prace były prowadzone zgodnie z literą prawa i zgodnie z resortowymi zarządzeniami. Robotnicy ustawili ogrodzenia zabezpieczające, a wandal (nieznani zresztą) natychmiast je niszczyli. Nie bardzo mogę jednak uwierzyć w te oświadczenia: obec-



Przed...

Foto: K. Tybinkowski

niszczeniu środowiska. Można więc zapytać, co stało się z kompleksowym programem udostępnienia i zagospodarowania turystyczno-rekreacyjnego Polski, opracowanym w roku 1973 przez Instytut Geografii Uniwersytetu Jagiellońskiego. Program ten przygotowany w ramach prac Rządowego Zespołu Ekspertów dla opracowania Kompleksowego Programu Ochrony Środowiska w Polsce do roku 1990. Można zapytać, dlaczego 10-letnie wysiłki Krajowej Komisji do Spraw Młeczarstwa o podniesienie higieny mleka i rozwój przetworów mlecznych nie odnoszą skutku. Można zapytać, czy Politechniki Łódzkiej, członkiem tej komisji, dlaczego przygotowane przez komisję, już w roku 1974, dwa rozporządzenia o zagospodarowaniu serwatki nie weszły w życie. Tysiące litrów tego płynu, tak bogatego w białko, wylewa się nadal do ścieków. Podobnie, powołano przed laty zespół mikrobiologii przemysłowej, który zajmował się ochroną żywności przed nadmierną chemizacją. Propagowano czynnie biologiczne środki ochrony żywności, o których zaginięły wszelkie ślady.

Lista wniosków i propozycji jest bardzo długa. Łączy ją jednak wspólna charakterystyczna cecha: dążenie do kompleksowej ochrony środowiska i nałożenia odpowiedzialności za stan tego środowiska na całą administrację państwową. Uczestnicy konferencji nie postulują wydania nowych przepisów prawnych. Co więcej, dokumenty obrad podkreślają, iż wydawanie przepisów o ochronie środowiska i ich nieprzestrzeganie jest szkodliwsze społecznie, niż brak przepisów. Wystarczy na przykład porównać odpowiednie rozdziały Prawa Wodnego o ochronie wód przed zanieczyszczeniem (z dnia 24. 10. 1974) czy rozporządzenie Rady Ministrów z 28. 11. 1975 r. m. in. w sprawie warunków, jakim powinny odpowiadać ścieki, z rzeczywistością. Szkodliwe społecznie będzie również niedostrzeżenie wniosków z tej konferencji przez odpowiednie resorty. Nie przesądzamy jednak z góry. Wszak skażone środowisko naturalne jest w równym stopniu niebezpieczne dla wszystkich, bez względu na to, z której strony biurka się znajdują.

wszystkich wykopów w Łodzi. Czy to oznacza, że ten wykop zostanie zakryty, w którym zdarzy się kolejny wypadek?

Powołany do oceny sytuacji inspektor pracy Wojewódzkiego Zw. Prac. Gosp. Komunalnej i Terenowej, Leon Wróbel, także stwierdził poważne zaniedbania ze strony osób odpowiedzialnych za bezpieczeństwo w czasie prowadzenia robót ziemnych.

„Jeśli kierownictwo robót wiedziało, iż w okresie poprzedzającym śmiertelny wypadek był już przypadek wpadnięcia dziecka do wykopu, to wówczas obowiązek ten był szczególnie uzasadniony. Po utonięciu dziecka konieczność wygrózdzenia i właściwego ułożenia barier była całkowita i nieodwołalna i nieczynienie tego do dnia dzisiejszego jest raziącym uchybieniem, stwarzającym dalsze zagrożenie wypadkowe”.

Protokół Leona Wróbla był spisany 18 czerwca 1980 r., a więc trzydzieści dni po wypadku! Dopiero wstrzymanie robót zmusiło Miejskie Przedsiębiorstwo Instalacyjne do właściwego zabezpieczenia ciągu cieplowniczego.

Przebiegając akta sprawy nie mogą nie postawić ciekawości pytanie: kto jest winien śmierci małej Moniki? Czekając na odpowiedź, będą z niepokojem śledzić informacje o kolejnych robotach ziemnych.

EUGENIUSZ IWANICKI



...i po
Foto: R. Łucyszyn

Dokończenie ze str. 1

te wciąż przewalających się chmur tego lata, widzę i tragizm całej Litwy w dniach najkrwawszych jej dziejów i Polski, i świata. Niedaleko granica rozjeżdżamy się, każdy do swego miasta i za swoje biurko.

Siedzę przy swoim biurku, ale jestem znów, czy jeszcze wciąż, na Mierzei Kurońskiej. Jej gospodarze (nie wiem, czy im to łatwo przyszło czy trudno) rozwiązali węzeł gordyjski, którego dotąd nie zdołali rozwiązać ci, co mają coś do powiedzenia w materii właściwej struktury organizacyjnej i zabezpieczenia warunków życia zgodnego z wymogami ekologii i zdrowia psychicznego na Helu. Pasmu mierzei w granicach Litwy nadano status miasta wydzielonego (całość zwie się Neringa, podzielone zaś wielokilometrowymi pasmami lasów wieś, wczasowiska i skanseny — to przedmieścia). W rezultacie jeden gospodarz wyposażony w zdecydowane kompetencje zdołał wreszcie rozstrzygnąć na korzyść człowieka nieustającą walkę morza z linią brzegową, uchronił półwysp przed spalaniem, nie dopuszcza do jego przeludnienia w sezonie letnim, chroniąc ten aż niesamowicie piękny skrawek ziemi przed dekapitacyjnym bezsenssem Zakopanego czy Sopotu.

Posuwamy się wąską, teraz już bezludną (wrzesień) szosą wśród gęstego lasu. Nie na tyle wszakże gęstego, by nie prześwitywało od łewej z dołu, bo brzeg urwisty, morze otwarte — gniewne, szturmujące, jakby opętane przez wszystkie diabły. Od prawej znacznie spokojniejsza, niemal ciche — zalew. Złożyliśmy kwiaty przed pomnikiem pierwszego poety litewskiego, pastora Kristijonasa Donelajisa z XVIII wieku i z kolei jedziemy do pomnika jego odkrywcę — profesora Ludwika Rezy. Ten, zachęcony przez Herdera, zajął się twórczością ludową prawowitych mieszkańców tych ziem i wydaniem poematu Donelajisa. Pomnik stoi na miejscu zasypanym przez wydmy włoski rodzinnej uczonemu. Bez cokołu, wyrzeźbiony z jednego ogromnego kłosa drzewa — wielka, pełna niesamowitej ekspresji twarz, przywodząca na myśl rzeźby bóstw w kontynach czy gajach świętych.

Znów wsiadamy do autobusu, pa- trzymy w milczeniu na uciekające w tył drzewa. Uczepiła mi się myśl fra- za z *Pieśni o ziemi naszej Pola*.

Uroczyścieśm los pomnika.
Padło wiecież wilk gdzie wyje,
A puszczam żubr poryka...

Uroczyścieśm los pomnika... Los pomnika... Zdarza się narażać rzecz o której filozofom jednak się śni, i nie- rzadko. Wyszepiane słowo ucieleśnia się, pojęcie przywołuje desygna- t, spełnia się najdziwniejsze z przy- słów: o wywołaniu wilka z lasu. Wil- kiem jest los. Wynurzył się do po- łowy z zieleni, ukazał architekturę swych „królewskich” (trafnej powie- dzie: łopatołogicznych) rogów. Król puszczczy zmierzyl autokar wzrokiem wyrażającym dezaprobatę posunię- cia do absolutnej obojętności i bez po- śpiechu oddalił się do najbliższego gąszcza.

Wrażenie było potężne i mówiło się w autobusie tylko o losu. Znam wie- lu zawodowych myślicieli, którzy utuliłi pełne zwierza bory, a łosia widzieli tylko w ogrodzie zoologicz- nym. Żeby jednak nie poprzestać na euforycznym *ach, czego to ja, proszę was, nie widziałem*, trzeba dać obra- zowi kontekst.

Ostatniego losa ubito na ziemiach litewskich w roku 1894, ostatniego niedźwiedzia, mospaane, w 1895. Zu- bra? Hej, iż się kręca... Knieje lit- ewskie trzeba było od pierwszych dzie- siecioleci XIX w. — jak stwierdza w *Dyplomatyce i łownych ekspert* bar- dzo autorytatywny, kupiecka lub rzą- dowa *moskiewska siekiera*. Potem z okrutną zaciekłością pierwsza i dwu- krotnie druga wojna światowa, nie mówiąc już o wojnie domowej. W la- tach czterdziestych lasy na *Ziemiach Paleona* obejmowały ledwie nieco ponad 10 proc. powierzchni kraju.

Litwa, jedna z pierwszych na świe- cie, zrozumiała, że nowoczesność nie polega na ukieścywieniu krajo- brazu, duszeniu ziemi asfaltem i powie- trza spalaniem. Toteż nie tylko trady- cja narodowa sprawiła, że kraj ten o- tacza swoje lasy szczególną opieką. To opowiedziane spotkanie z łosiem nie jest czymś osobliwym, zwywy- szy, że *pomyłka* ich i-ś w licznym kniejach litewskich 30 000. Niedźwie- dzi, mospaanie, też porykuje sporo. Dąbrów, które tak bardzo czczono, niegdyś na świętej Zmudzi, niestety, jest mimo ogromnego wzrostu obsza- rów leśnych nadal podobno mniej niż cedrów w górach Libanu. Szczęśli- wym trafem ocalało kilka drzew — *równieśników litewskich wielkich knia- ziów*. Ocalał Dąb Stajmyński leżący sobie, jeśli słuszną hołotnikom wie- rzyć... 2 000 lat — zatem dwukrotnie starszy od podkieleckiego Bartka. O- calał, przynajmniej w tym stanie, w jakim go widział Miekiewicz — Bau- blis. Bo to nie jest, jak mniej swia- domi rzeczy czytelnicy „Pana Tadeu- sza” mogliby sądzić, drzewo żywe, leca-

wiekami wydrążony pień, odpilowany od korzeni, który Dionizy Poszka (Pa- szkiewicz) ustawił w swym ogrodzie dworskim i nakrył daszkiem. Wydrą- żony pień miał inne zadanie, niż słu- żenie za gospodę dwunastu ludziom, którzy mogli zasiadać za stołem. Po- szka, zagorzały stronnik Konstytucji 3 Maja, przyjaciel Lelewela i Czackiego, naukowiec-amator, pierwszy poeta żmudzki i żmudzki Linde, au- tor słownika zachodnioliteńskiego, urządził w jego wnętrzu (podobnie jak na krótko przed nim księżna Iza- bella w *Sybilli*) muzeum starożytno- ści żmudzko-litewsko-polskich.

Tam, na Mierzei Kurońskiej, w po- wietrzu tak przesyconym jodem, so- lami i przeróżnymi wonnościami ba- samicznymi, że człowiekowi chwilami się zdaje, jakby stał pośrodku olbrzy- miej apteki pod gołym niebem, po- wiedział prezydentowi spłokoma Ne- ringi: W *minionym okresie uważano*,

I dalej:

Ufa twardo, że nie zblądzi,
Bo dokoła się ogląda,
I wie dobrze, czego żąda,
A stąd bywa hart w narodzie —
Litwin mądry nie poszko-
dzie.

Zatem rozsądny i ogledny Litwin uczy się mądrości od przyrody i od tego, co nazywa się dziedzictwem kul- turalnym i cywilizacyjnym. Litwin, mądry, nie po szkodzi, w czas po- ją, jest najgenialniejszą filozofia, naj- sprawdzniejszy system społeczny i najbardziej demokratyczna konstytu- cja nie dają same z siebie praktycz- nym poczynaniom działacza — w tym gospodarczym oraz w dziedzinie naj- szerszej pojętych potrzeb komun- alnych — charyzmatu nieomyślności. Co, jak wiemy z naszego podwórka, gru-

myśli urbanistycznej. Dzień dzisiejszy to w coraz większym stopniu właśnie krytyczna twórcza kontynuacja: bu- dynki nie maciupkie, ale nie mrow- kowce, nakryte tradycyjnym dachami (jako, że geniusz ludów na tych szerokościach geograficznych stworzył je nie dla nadrealistycznego kaprysu, dyktowanego pocieszną starą modą, lecz w wyniku tysiącletnich doświad- czeń w określonych warunkach kli- matycznych), nie, jak u nas, o ścia- nach z wyburzonego, brudnobiałego tynku, lecz zróżnicowanych, wznoszą- nych zarówno z płyty, jak z cegły, drewna bądź drewnopodobnych ele- mentów. Ponadto litewski budowniczy — wymowny przykład: nowe osiedla mieszkaniowe w Wilnie — lubi ty- nki w kolorach dyskretnopastelowych, nie skaczących do oczu, zharmonizo- wanych z kolorowym dachem, nie znosi natomiast malowania na obla- żący momentalnie olej balkonów i wnek balkonowych. Najbardziej zaś nie znosi natręctwa *arcydzieł* plastyki rzekomo reklamowanej na fojermur- kach — w Łodzi straszących barba- rzyńsko nawet na uznanej za zabytek ulicy Piotrkowskiej. A zatem dzień dzisiejszy architektury litewskiej to budownictwo łączące w harmonijny sposób elementy nowoczesności z sen- sownymi tradycyjnymi, budownictwo nie reprezentujące stylu *wszystko jedno gdzie*, lecz nawiązujące do tra- dycji właśnie lokalnej, nadmienie- kiej, dające tamtejszej społeczności poza innymi względami, jedną z naj- szlachetniejszych satysfakcji, jaką jest potwierdzenie swej tożsamości naro- dowej nawet w wyglądzie przysio- wowych czterech ścian i dachu pla- tego.

Jedziemy przez Litwę. Różne plomie- niej różnymi odcieniami pasu i szkarlatu nie tylko w naszych re- kach (co powiat, miasteczko wysia- damy, gra muzyka, podają chleb i sól a dziewczęta wręczają nam kwiaty). Kwiaty mogą pochodzić również do- brze i z oranżerii, więc istotniejsze dla odmalowywanego tu pejzażu li- tewskiego jest, że właśnie wszędzie czerwienią się przed domami i cha- łami. Pełno w tych przeddomkowych ogródkach czerwoności, różności, bie- kitu, fioleto. Jedziemy i jak dzieci z wierszyka Konopnickiej często na- dźwięki się nie możemy, jaki piękny świat. Poszkapili się Wicenty Pol, pi- sząc w *Pieśni o ziemi naszej* — kraj zapadły, równy, senny. Szczęście, że informację bardziej wiarygodną dał nie zawodowy geograf Pol, lecz poeta — kolorysta i, jak udowodnia Wit- kiewicz, prekursor impresjonizmu, gdy pisał o *pagórkach leśnych i łą- kach zielonych*. Przypomnę może jeszcze, że nie tylko sam Niemen za- służył na epitet błękitny.

Wzdłuż szos uderza brak bałaganu budowlanego, owych slumsowili i *miastowych brudnotynczastych* sześcianów w miejscu dawnych obejść gospodarskich, tak typowych dla na- szego pejzażu szosowego. Stoją, jak i za czasów Pola, to tu, to ówdzie na rozstajach czy pośrodku wsi, krzyże. Niektóre nawet nowe i świeżo pomalowane niebieskim olejem. Jakże ty- powym jednak widokiem, zwłaszcza na Zaniemniu (przykładem szosa Dru- skienniki — Wilno) są rzeźby ludowe — drewniane słupce, i prakultowym stylizowanym słonce na zwieńcze- niu i archaiczno-allegorycznymi plas- korzeźbami po bokach. Stawiane są od jakiegoś czasu na tle malowniczych kep drzew, niczym w *caju świętym*. Czy wiecie, że na Litwie istnieją osobne urzędy do spraw organizacji plastycznej terenów zielonych? Urzę- dy te walczą z dzikim, nie pasują- cym do otoczenia budownictwem, troszcząc się o zazielenienie nielich- płastycznej terenów. To pod ich wła- śnie pieczę (oraz wyższej szkoły pla- stycznej) rozwija się na nie spotykana gdzie indziej skala właśnie akcja wzmacniania ekspresji krajoobrazu po- przez takie właśnie akcenty rzeźbiar- skie, które są notabene dziełem arty- stów wyłącznie samorodnych.

Trudno też znaleźć drugi kraj, w którym tyle by postawiono pomni- ków jego poetom i artystom. Często bez ogrodzenia, bez cokołu, rzeźbione w drewnie, tworzywie, uznawany tu za równie szlachetne, co we Wło- szach biały marmur.

Patrzyliśmy nie bez zdziwienia, dzieci epoki uroczystego schematu i śmiertelnie poważnej pryncypialności, jak w Połdnie młoda para małżeń- ska, już po pociesznej prastarej a so- wietrzalskiej ceremonii wykupna na mostku, składała kwiaty przed pom- nikami golei, jak ja Pan Bóg stwo- rzył. Juraty w objęciach Kastitisa Chwałę antykonwencjonalność tych i innych litewskich młodych ludzi, przywiązanych do własnych narodo- wych i ludowych tradycji. Dodajmy, że wszystkie dziewczęta, które nas witały, wręcały kwiaty stawały na watach pod pomnikami. Towarzyszy- ły do stołu, zajmowały rzędy w sa- łach teatralnych podczas spotkań au- torskich, ubrane były w barwne stro- je ludowe, i czuły się w nich najzu- pełniej naturalnie.

DRZEWA LITEWSKIE

że naczelnym zadaniem naszej epoki i ustroju jest przeobrażenie przyrody. Przyroda jest mądra i nie potrzeba jej przeobrażać, a tylko nauczyć się rozumieć. Przeobrazić trzeba człowie- ka: nieustraszonego, znużonego zadużka, takiego, co to uważa, że wszystkie ro- zumy pojadą.

Młoda kustoszka Muzeum Burszty- nu w Połdnie w pałacu Tyszkiewi- czów (chyba tylko Juracie, na pobli- skim pomniczku, wdzikiem wysmuk- łej dorówna kibici) oprowadza nas po parku, mówi o nowych jego zało- żeniach (kształt i kierunek alei, do- bór i sąsiedztwo drzew — tylko w oparciu o podpatrzone naturalne dą- żności samej przyrody, zaprzestanie gwałcenia jej i ośmieszania przez na- rzucanie sztucznych funkcji dekor- acyjnych, kształtowanie nożycami drzew w zaangażowane kompozycje figuralne itp.). Źródła światła wie- czornego również — mówi kustoszka — zostały ukryte wśród traw i ka- mieni: człowiek ma tu obcować z przyrodą, a nie podziwiać swoje wy- nalazki — słupy oświetleniowe, roz- wieszane druty, porcelanę elektro- techniczną.

A przecież radziecka Litwa nie jest bynajmniej krajem zacofanym gospo- darczo. Posiada przemysł i to waż- ny. Mijałymi na przedmieściach Kowna, Szawli, Kłajpedy wiele fa- bryk. Spotykaliśmy się z załogami i jednej z największych, nie tylko w Związku Radzieckim, fabryki kine- skopów, i w ogromnej Fabryce Wło- kien Sztucznych im. 50-lecia Rewolu- cji Październikowej w Kownie. Jako łodzianin, a więc człowiek o skroco- nym w dziesięcioletnie życie z powodu wdychania zapachów wędzarskiej *Anilany* i zajętej pracy czasem do po- bliższego Tomasza, gdzie już z ła- teka... daje o sobie znać *Wistom*, za- pytałem kowieńskiego dyrektora, kie- dy nam pokazać już produkt końco- wy — *teżowozwzrostą* mocna, miek- ką tkaninę, dlaczego ani w fabryce (począgnąłem nosem), ani w okolicy... nie śmierdzi. Dyrektor: *Po prostu sto- sujemy inną niż u was recepturę*. Ale w obawie, że bym się nie poczuł do- tknięty w patriotycznie okalnym do- dał: *Za to wasza Anilana dała nam w międzyzakładowym turnieju łupnia w szachy*.

Objężdżając wszystkie cztery pro- wincje litewskie i mijając wiele wszelkich wód, nie zdarzyło nam się widzieć, ani czuć rzek i jezior za- trutych, a nie posadzam naszych go- spodarzy o korzystanie z potiomki- nowskich metod obwożenia po kraju, zwłaszcza, że w rozmowach z nami i w wypowiedziach oficjeli nie owi- jali w bawełnę własnych niedostatk- ków i pokazywali nam bynajmniej nie tylko wyglansowane westybule Litwy.

Informuje w swym nie przestarza- łym *bedekerze* Wincenty Pol:

(Litwin) Choć kraj jego niebogaty,
Radzi sobie, bo oszczędny,
Bo rozsądny i ogledny.

bo nie zawsze było rozumiane w po- przednich okresach. A przyszły cza- sy, w których ogledność jest przed- miotem natury ludzkiej może najpil- niej potrzebny. Czas, w których koszty pomyłek są niewspółmiernie wyższe niż w jakimkolwiek z po- przednich okresów, podiewa człowiek dysponuje dziś tak potężnym poten- cjałem środków przeobrażenia warun- ków życia, że uczyniona przezeń po- myłka może być pomyłką groźną, mo- że nie do naprawienia.

Rozsądny i ogledny Litwin doszedł szybciej chyba niż gdzie indziej do wniosku, że uspołecznienie człowie- ka, jego altruizm i rozwijany tak szalenie przez działania wychowawcze państwa obywatelski instynkt grom- adny, a życie w społeczeństwie ter- minowy — to są całkiem różne rzec- zy. Ze do dobrego samopoczucia — tak nieodzownego i dla barwy naszego życia, i w ostatecznym rachunku dla powodzenia całej wspólnoty — są mu również niezbędne, co przyrodzie tlen świadomości, własnej osobniczej war- tości i niepowtarzalności, a także świadomość kontynuacji. Kontynuacji — bo pasjonowanie się na modłę fu- turystów lat dwudziestych właśnie przekreśleniem wszystkiego, co do- tychczas i zacyzanie wszystkiego od nowa jest wynikiem pewnych i cech temperamentalnych i zahamowań wrażliwości wieku młodego i zjaw- skiem dotyczącym raczej grup wąskich. Kontynuacja pewnych wartości zasta- nych — przy tym nieraz o dawno sprawdzonych przydatności — odróż- niających daną wspólnotę historyczną od innych, akceptowanych, uczuciowo satysfakcjonujących, a bynajmniej nie przeszkadzających postępowi i impon- derablium ustrojowym.

Konkrety: Jedząc po republice, nie spostrzegaliśmy zjawiska wciąż aktual- nego w polskiej architekturze — wy- sokociślowości. Tu zrozumiano bo- wiem w porę, że człowiek nie czuje się najlepiej w otoczeniu nie na swo- ją własną, ludzką skalę. Ze dla czło- wieka krasnoludek (czy też świadom- ność własnej krasnoludowości), nie brzmiał zbyt dumnie. Zrozumiano też w porę, że dalszy rozrost miasta spowodowałby zagładę na czoło *Ponar osadzonych borów*, Litwa nie sno- bizuje się na posiadanie milionowej stolicy. Obecna liczba przeszło czte- rysta tysięcy mieszkańców Wilna jest w świadomości tego mądrego nie po- szkodzić społeczeństwa górna grani- cą, poza którą daje się już mocno we znaki odwrotna strona medalu wielkomiejskości, a też i człowiek traci często rwa zauważalność, grozi mu włożenie, metaforycznie czerwonej czapeczki i kucnięcie pod metafo- rycznym muchomorem. Co zauważy- liśmy dalej? Brak zapalu architektów do budowy mrowkowców (powód jak wyżej), a także rozmachu — nawet jakby zastój — w budownictwie blo- kowym. Owszem, na przedmieściach Kowna i Poniewieża widzieliśmy zwrócone wąskim bokiem do ulicy szeregi takich jak u nas najednoko- pytnych tanich bloków. Ale to już wyraźnie dzień wczorajszy tamtejszej

TADEUSZ CHRÓŚCIELEWSKI

ODGŁOSY 5

Przed paroma dniami pocztą przyniosła mi książkę. Był to jak gdyby końcowy akcent — punkt przygody literackiej, jaka wydarzyła mi się grudniowego wieczoru, w moskiewskim hotelu „Rossija”.

Diugi korytarz czwartego piętra zajmowali prawie wyłącznie uczestnicy światowego zjazdu tłumaczy literatury rosyjskiej i radzieckiej. Drzwi naszego pokoju były szeroko otwarte — poznawaliśmy się dopiero; wspólne rozmowy, wizyty... Był pierwszy dzień — a właściwie wieczór — zjazdu.

Na stoliku leżał egzemplarz „Polityki” z recenzją Kazimierza Koznińskiego z tuwimowskiego zbioru „Listów do przyjaciół — pisarzy”. Ktoś powiedział, że nie powinno się publikować takich prywatnych korespondencji — że odzierają one postać pisarza z legendy, nimbu i dostojności...

Zaprotestowałem. Jako przykład podałem wydany przed paru laty tom listów Boya. — To przecież — mówiłem — najlepsza książka biograficzna o Boyu, jaka została napisana — tym cenniejsza, że napisana przez samego bohatera. Ciekawy i piękny życiorys Boya zawierał się przecież między tymi dwoma listami, które rozpoczynają i kończą tę księgę. Pierwszy — pisany przez młodzieńczego studenta medycyny do Kazimierza Tetmajera; ostatni — pisany przez profesora i głośnego pisarza do jakiegoś działacza w radzieckim Lwowie w roku 1941...

SPOTKANIE W HOTELU „ROSSIJA”

Silny starszy pan, przerwał mi czytaniem.

— Czy pan wie, do kogo pisał Boy ten ostatni list?

— Nie pamiętam — odparłem.

— Do mnie — odpowiedział.

Był to Igor Kostecki — ukraiński krytyk literacki, reżyser i tłumacz literatury rosyjskiej na język niemiecki. Pokreślone losy wojny i losy osobiste rzuciły go do Schwaikheimu — obecnie Kostecki brał udział w zjeździe moskiewskim, reprezentując Republikę Federalną Niemiec.

Tak więc — zupełnie dla mnie niespodziewanie — poznałem człowieka, który był jednym z bohaterów szczególnie przeze mnie ulubionej książki — „Listów” Tadeusza Boya-Zeleńskiego.

Wywodzi się Igor Kostecki ze starej ukraińskiej rodziny, która od stuleci osiadła na Podolu. Urodzony w Kijowie w 1913 roku tam spędza dzieciństwo i młodość i tam rozpoczyna pracę dziennikarską, reżyserką i pedagogiczną. Rozwija się i kształtuje na rozdrożu trzech języków — ukraińskiego, rosyjskiego i polskiego. Potężnej, polskiej tradycji kulturalnej przypisuje Kostecki wystrzenie smaku na odrębne bogactwo własnego języka... Pierwszą książką, którą jako dziecko zdołał przeczytać, były „Baśnie” Andersena w polskim przekładzie.

Na pół zapomniana polszczyzna ożywa w rozmowie. Potem w liście napisze — proszę mi darować moje polonobarbarzyństwo — choć list

napisany jest piękna, nieco archaiczna polszczyzna.

Dziś Igor Kostecki mieszka pod Stuttgartem — rozwija wielostronną działalność jako tłumacz, krytyk i wydawca. Jego osiągnięcia w tych trzech dziedzinach mogłyby przynieść zaszczyt rzetelnej, wieloosobowej instytucji. U podstaw tych wszystkich przedsięwzięć rysuje się próba zbudowania zespołu tłumaczeń z literatury światowej, który by mógł służyć jako wzorzec i stanowić bazę dla przyswajania rozwoju intelektualnej, moralnej i artystycznej myśli ukraińskiej.

Mnie najbardziej ciekawi Kostecki jako poeta. Jak sam twierdzi nie interesuje go podział na „moderną” i „tradycyjną”. W widzeniu świata jest jednak romantykiem — w formie wierszy, poetą na wskroś nowoczesnym.

W przysłanej mi książce „Surowe sonety” Igora Kosteckiego tłumaczył Jerzy Niemojewski. On też zaopatrzył ten intrygujący cykl wierszy w obszerny, wnikliwy i wyczerpujący esej o twórczości Igora Kosteckiego.

Przypomina w nim wielostronnie i bogate związki pisarza z Polską. W ostatnich latach dzięki Kosteckiemu udostępniony został polskiemu czytelnikowi — wspomniany już — ostatni list Boya. W tomie wspomnień o Stanisławie Jerzym Lecu, wydanym niedawno przez Wydawnictwo Literackie — jest także wspomnienie Kosteckiego. To on udostępnił prof.

Stanisławowi Holsztyńskiemu list Stanisława Przybyszewskiego — opublikowany przed paru laty w „Literaturze na świecie”...

„W „Surowych sonetach” znalazłem także wiersz — polonim, ośnuty na motywach z Krasińskiego:

lecz Tyś mnie jedna tutaj nie
zawiodła
też gorszej śmierci
płonna dla wzruszeń bezsilność
u progu
ach rzeczywistość pośród
rzeczywistych
rzeczywistością ze straszliwych
marzeń
z baśni wyklutych przez
ciemnego wroga
lecz Tyś mnie jedna tutaj nie
zawiodła
wspaniałość słowa.

Problemy naszego czasu stają się ważniejsze z każdym dniem — ważniejsze od serca człowieka — napisał Jerzy Niemojewski. Dobrze więc, że są tacy ludzie jak Igor Kostecki — oddający sztuce bez reszty. Istotną cechą tych ludzi jest to, że będą budowali gołymi dłońmi, w każdym miejscu ziemi — wierząc, że w jakimś momencie ich wysiłek może się przydać. Spotkanie w hotelu „Rossija” jeszcze bardziej utwierdziło mnie w tym przekonaniu.

JERZY WILMAŃSKI

ŹRÓDŁA

O OTWARTOŚCI SERCA

W roku 1968 ukazała się moja powieść „Dziadek i Róża”. W „Słowie od autora” napisałem, że są to fragmenty kroniki jednej wsi a prawdę rzekłszy, historia zaledwie kilku osób z tej wsi, na którą natknąłem się w czasie moich wędrówek po ziemi łódzkiej. A jeszcze ściślej: historia ludzi, których wiązało pokrewieństwo, przyjaźń i konspiracja w czasie ostatniej wojny. Pretekstem do napisania książki była wymianka znaleziona w jednym z opracowań historycznych o buncie dzieci chłopskich w 1905 roku, które żądały wprowadzenia języka ojczystego do szkoły. Sprawczyńią buntu dzieci była miejscowa nauczycielka Janina Bronisława Wieczorek. Postać nauczycielki utkwiła mi głęboko w pamięci i wyobraźni — o tej nauczycielce musiała urodzić się we wsi legenda. Postanawiam więc ująć się tam i stwierdzić, czy żyją jeszcze uczniowie tej nauczycielki, w jaki sposób przechowywana jest jej pamięć. Ale rozmowy z chłopami potoczyły się w innym kierunku. Nie

opowiadano o roku 1905, a o czasach bliższych, o ostatniej wojnie, która we wsi zostawiła bolesne rany. We wstępie powiadam: zapomniałem w trakcie tych rozmów zapytać o Janinę Wieczorek. Ale wiem: bez względu na to czy pamiętają o niej do dziś, czy już zapomniano — ona także zasiała ziarno, które wschodzący w tej wsi w czasie wojny.

We wszystkich książkach, które potem powstały, i tych także, których akcja rozgrywa się w dniu dzisiejszym, a więc trzydzieści pięć lat po zakończeniu wojny, wątki i echa tamtych zdarzeń wciąż powracają. Nie ma domu, w którym by te echa nie żyły. A to na ścianie wisi fotografia dziadka lub ojca, który zginął w obozie koncentracyjnym, a to zdjęcie matki, którą uwięziono, bo udzielała pomocy partyzantom, a to list od młodego chłopca, którego schwytano, kiedy wracał z tajnej szkoły do domu. A w innym mieszkaniu kilkanaście listów, pożyczonych już, przewiązanych wstążką, które nadeszły z obozu. Owe fotografie, listy, dokumenty jeszcze nie do końca są odczytane.

W jaki sposób należy odczytywać owe listy? Jak z nich korzystać? Co robić, aby z tego tworzywa narodziło się żywe dzieło, w którym, jak powiada Maria Dąbrowska w „Gawędzie o literaturze”, znalazłoby się pierwiastki zdolne w różnych czasach wzruszać najrozmaitszych ludzi, „ukazywać im głębszy, radosny albo smutny, komiczny albo tragiczny sens ludzkich spraw, którego bez pośrednictwa dzieła sztuki wcale by nie dostrzegli”.

Recepty na napisanie takiego utworu, powiada autorka „Dni i nocy”, nie ma. Bo cała dotychczasowa wiedza o składnikach dzieła literackiego „to głównie rozpoznawanie i objaśnianie albo krytykowanie już dokonanych osiągnięć twórczych”. Przydatne to jest i czytelnikom, i pisarzom, „bo umysłom twórczym wszystko się na coś przyda”, lecz jak się wyraża Dąbrowska nie „dla hodowli twórców”. „Spróbujcie zebrać te wszystkie wzory, metody i dobre rady i napiszcie podług nich wielkie dzieło literatury. Nic z tego nie wyjdzie póki

tematu nie dotknie ręka talentu czy geniuszu”.

To, oczywiście, prawda. Praca twórcza jest sprawą osobistą każdego pisarza. A jednak myślę, że pisarz, malarz czy rzeźbiarz uczy się od innych pisarzy, malarzy, rzeźbiarzy. Że jakieś recepty na własne wątpliwości u nich znajduje. Czasami szuka też pomocy w dziełach z innych dyscyplin.

Do takich książek, do których lubię wracać, jest „Społeczność wiejska” prof. Kazimierza Zawistowicz-Adamskiej. Mam u siebie drugie wydanie tej książki z roku 1958 (Wyd. LSW) ze wstępem prof. Jana Szczepańskiego. Powstała ona w wyniku badań społecznych, prowadzonych w Zaborowie w latach 1938-39. Rozstrząsał tę wieś Jędrzej Cierniak, działacz oświatowy, autor i inscenizator ludowych widowisk, założyciel Instytutu Teatrów Ludowych, Cierniak napisał książkę „Wies Zaborów i zaborowski dom ludowy”. W przedmowie do wydania pierwszego „Społeczności wiejskiej” napisano, że książka Zawistowicz-Adamskiej wiąże się właśnie z niezapomnianą postacią Jędrzeja Cierniaka, „działacza kulturalnego wielkiej miary”.

Jeż w książce prof. Zawistowicz-Adamskiej scen prawdziwie powieściowych. Ile odpowiedzi dla pisarzy. A może właśnie te odpowiedzi są receptami na różne nasze trudności? Autorka wspomina na przykład swoją pierwszą podróż do Zaborowa, odbyłą razem z Cierniakiem: „...Jechaliśmy razem końmi z Brzeska. Po drodze odwiedzały dawne wspomnienia z lat dziecięcych i młodzieńczych. Promieniał... Wiedzie — mówił z uśmiechem — znam tę drogę tak dobrze, tyle razy ją odbyłem, a przecież za każdym razem, gdy zbliżam się do Zaborowa, zda mi się, że serce przed dyszlem naprzd bieży”.

Otóż to serce, „które przed dyszlem naprzd bieży” — oto jedna, bodaj czy nie najważniejsza, z owych recept. Zawistowicz-Adamska stwierdza, że dzięki odpowiedniemu podejściu do ludzi żyde wsi stało przed nią otworem we wszystkich swych postaciach: od święta i

na co dzień, w troskach i w chwilach radości. Pisz: „I gdziekolwiek jestem: na chrzcinach czy na weselu, u biednych wyrobników czy u zażywnych gospodarzy, zawsze odczuwam głęboką radość, gdy dane mi jest dostrzec prawdziwe oblicze tych ludzi. Bo i oni mają swe maski, które przywdziałają za podstępem podejrzliwej nieufności czy zaciętości hardej. Ale pozbywają się owych masek chętnie, gdy zwycięży w nich otwartość serca. Wtedy odstania się ich świat wewnętrzny w całej swej zawilosci i w całej surowej prostocie. Chcąc wniknąć w ten świat, należy pieczołowicie rozważyć w sobie każdy odruch, każde słowo. Własną otwartością serca odzwajemni otwartość serca tamtych. By niczym nie urazić, nie sponżyć. I nie zranić. Bo wnikanie w tajemki duszy ludzkiej nie może być korsarstwem, choć dokonywało się w imię celów badawczych. Nie wystarczy przyjmować zwierzenia, nie wystarczy czynić obserwacje, nie wystarczy wydierać ludziom ich tajemnice. Nie wystarczy brać. Trzeba umieć w zamian coś z siebie dawać. Coś równie wartościowego, coś wszechludzkiego. Dopiero wtedy taka wymiana stanie się przeżyciem dla obu stron. I należy dołożyć wszelkich starań, by dla obu stron stała się przeżyciem wzbogacającym”.

Wydała mi się, że to, co napisała autorka w „Społeczności wiejskiej” o „otwartości serca” daje pewną receptę na poszukiwanie i zdobywanie twórczości dla swojego dzieła; że dostarcza pisarzowi owych „przeżyć wzbogacających”.

Przypomniały mi się sceny z książki Zawistowicz-Adamskiej, rozmowy autorki z ludźmi, którzy otwierali przed nią swoje serca, bo oto zabieram się do pracy nad nową powieścią, która nawiązuje do wspomnianego w wstępie „Dziadka i Róży”. I powstaje pytanie: czy potrafię własną otwartością serca odzwajemni otwartość serca ludzi, których spotkam na swej drodze. Czy pisarze zawsze odzwajemniają te uczucia?

TADEUSZ PAPIER

Siedzący PIW-owską serię polskiej prozy współczesnej od dłuższego już czasu czekali na nową trytytomową powieść Jerzego Krzysztonia, anonowaną fragmentami drukowanymi w prasie literackiej, a także prezentowaną w III programie Polskiego Radia w sugestywnej interpretacji Mieczysława Voita. Opowiada ona dzieje obłędu, jest relacją z przebiegu choroby psychicznej i leczenia jej w szpitalu w Tworkach. Złowieszcze to słowo, oznaczające dzielnice Pruszkowa, w której mieści się szpital dla nerwowo i psychicznie chorych oraz Instytut Psychoneurologiczny, wywoływało ongiś dreszcz emocji, emocji strachliwej, dziś spowszedniało, już raczej nie straszy. Nie wynika to bynajmniej z upowszechnienia schorzeń, jakie są w Tworkach leczone, po prostu zmienił się stosunek zdrowej części społeczeństwa do tych odmieńców, czujących i widzących inaczej, posiadających swój świat, najczęściej o wiele bardziej złożony i skomplikowany, niż ten, który oglądamy normalnie. Między innymi publikacje profesora Antoniego Kepińskiego przybliżyły te niełatwe problemy czytającej części naszego społeczeństwa, wzbudziły zainteresowanie intrygującą, tajemniczą i groźną sferą życia.

Książka Jerzego Krzysztonia łączy dwie sprawy: literackie studium choroby z nową wersją mity Odysusa, króla Itaki, syna Laertes (czy też — według innej wersji — Syzyfa). Odysa, powracającego przez niemal dziesięć lat spod Troi do rodzinnej Itaki. Odys, znany z „Iliady” i „Odysei”, jest chyba najpopularniejszą postacią cyklu trojańskiego, in-

spirującą — jak widać — po dziś dzień, i to nie tylko reprezentantów literatury. Motyw tułaczki, wędrówki w poszukiwaniu domu, tęsknoty za ukojeniem po trudach i niebezpieczeństwach życia — jest po prostu uniwersalny, nadaje się do przedstawienia każdej bez mała sytuacji. Taką właśnie wędrówką po drogach i bezdrożach współczesności (lecz również historii) staje się choroba bohatera „Obłędu”. Krzysztonia J. (raz, przez pomyłkę zapewne, nazwanego Krzysztofem B.).

Cieszący się sukcesami zawodowy reporter radiowy, zadowolony z udanego życia rodzinnego, czterdziestoltni, przystojny i wyształcony mężczyzna popada nagle w obłęd. Jego symptomy, łagodne zrazu, przybierają na sile i trzeba umieścić niebezpiecznego w zamkniętym zakładzie. Chce zbawić świat, uchronić go od nuklearnej zagłady; wokół dostrzega dyblane nań tajne służby, wszędzie aż roi się od prześladowników — jak ich określa. Miewa zaniki świadomości i pamięci, stan się pogarsza, pacjent po prostu nie chce dalej żyć. I od tego miejsca zaczyna się właśnie dzieje Krzysztonia — Odysa, od tego momentu następuje eskalacja napęta, szczegółowa kronika przebiegu choroby (oraz jej powolnego przezwyciężania), choroby określonej jako zespół lękowo-urojeniowy.

Krzysztów wspomina: „Jako mały chłopiec z wypiekami na twarzy czytałem najpiękniejszą księgę, jaką ojciec mi kupił — „Odyseję”. Aby już nigdy potem — gdy sam wyruszyłem w świat — nie zająrzeć do niej, najwspanialszej przypowieści o doli człowieka, naszej doli, naszym i moim losie. I pod tworkow-

skim płotem, przy zagrodzie przypomniałem sobie, jak w przytomności Odysa, bez płowych kędziolów, w starca przemienionego — Eumajosa, wierny pasterz świń, białeł i białeł, że Odys nigdy, przenigdy nie wróci do Itaki...”

Relacjonowana przez Krzysztonia J. historia jego wzięcia i upadku (narracja prowadzona jest w pierwszej osobie, przez co uzyskuje się dodatkowe jakby dramatyczne efekty) stanowi tedy rozbudowaną przypowieść o doli i niedoli współczesnego inteligenta, nadwrażliwca, nie

madzenie emocji jest tak wielkie, że odbiera się „Obłęd” właściwie nie jako relację z przebiegu choroby, lecz jako gorzką skargę kogoś dotkniętego ciężkim zrządzeniem losu, jako oczyszczającą spowiedź.

Bohater powieści Jerzego Krzysztonia pobłądził w swej wędrówce przez życie. Zboczył z ogólnie wyznaczonego traktu, po którym należy posuwać się szybko, zdecydowanie, by nie pozostać w tyle za współwędrowcami. Znalazł się w gronie outsiderów, mających dużo czasu na delikatne obchodzenie się ze zbo-

Zostanie kamień z napisem:
Tu leży taki a taki.
Każdy z nas jest Odysem,
Co wraca do swej Itaki...

(Leopold Staff)

Jest w książce Krzysztonia pewna sfera, na którą koniecznie trzeba zwrócić uwagę — stosunek do wydarzeń i postaci historycznych, groteskowy i śmieszny, lecz jednocześnie głęboko przejmujący, odzwierciedlający minioną i teraźniejszą bezradność wobec Historii, wobec pogmatwanych narodowych dziejów, wobec odwiecznych zmagani człowieka z człowiekiem. Bo przecież dopiero obłęd zbiorowy staje się prawdziwym kataklizmem.

Trudno oceniać fachowość tego literackiego studium obłędu, zwłaszcza że i narrator powątpiewa, aby cokolwiek miał tu do powiedzenia „krwoty”, którzy nie zdobyli gruntownej edukacji w Tworkach”. Jakkolwiek by zresztą było — jest to bodaj czy nie najciekawsza powieść tegorocznego sezonu literackiego u nas. Kto nie wierzy, niechaj „Obłęd” po prostu przeczyta: Kto wierzy — niech przeczyta czym prędzej.

Jerzy Krzysztów. Obłęd: t. I Tropiony i osaczeni. t. II Przywiązany do masztu. t. III Księgę nad Epidaurem. Państwowy Instytut Wydawniczy, nakład 20 000 + 315 egz., cena t. I/III zł 115.—, Warszawa 1980.

TADEUSZ BŁĄŻEJEWSKI

ODGŁOSY 7

PROZA

OBLĘD

wytrzymującego natłoku wrażeń, ulegającego presji codzienności, usiłującego zbawić kraj i świat cały. Sugestywność, z jaką przedstawiona została przemiana Krzysztonia w Tajnego Agenta Dobrej Woli, przedstawiciela Międzynarodówki Mózgów, współpartnera Dostojnego Rozmówcy wreszcie, powoduje iż trudno w tej powieści wyznaczyć jakiegokolwiek punktu kulminacyjnego, dramatyczne napięcie pojawia się już na pierwszych stronach i nie opuszcza czytelnika aż do ostatniego zdania. Nagro-

lałą psyche. Grono to wywołuje u czytelnika — wśród wielu innych — i taką refleksję: co w naszym życiu jest naprawdę patologią, deformacją, przekroczeniem bariery normalności? i kto w rzeczy samej jest w stanie o tym wyrokować? kogo właściwie stać na pełną w tej mierze odpowiedzialność? Odpowiedzi nie znajdziemy w losach Krzysztonia J., należy je szukać we własnych z losami zmaganiach. Nie darmo bowiem powiada poeta:



Znalezione przez archeologów grobowce na polach Grunwaldu.
Foto: Krystyna Karpińska

ARCHEOLODZY NA POLACH GRUNWALDU

Dokończenie ze str. 1

Archeologom sprzyja pogoda i okoliczności. Szczęśliwym trafem ukształtowanie pól Grunwaldu od 1410 roku uległo niewielkim zmianom. Inna jest dziś szata leśna, odmienne stosunki osadnicze, poziom wód, ale rzeźba pionowa i zarys sieci dróg różni się niewiele od tego, co zastał tutaj w lipcu, 570 lat temu, król Jagiełło. Na tak ogromnym obszarze około 20 km. kw. nie sprawdzają się tradycyjne metody wykopaliskowe. Podczas tegorocznego sezonu przy pomocy wykopów zbadano 1000 m kw. Jest to bardzo dużo jak na jeden sezon. Niemniej tempo prac było stanowczo zbyt wolne, biorąc pod uwagę tak duży obszar ziemi przeznaczony do przebadania. Nawet przy bardzo wydajnej pomocy wojska, tak jak w tym roku, licznej ekipie archeologicznej na przebadanie całego terenu trzeba by poświęcić, najskromniej licząc, kilkanaście lat. Archeologowie wykorzystują więc inne środki: fotografie lotnicze, aparaty do wykrywania metalu, analizy fosforowe, które wskazują obszary nasycone produktami rozpadu związków organicznych. Tereny te pokrywają się z miejscami przebywania dużych grup ludzkich, jak np. obozowiska. Podejmując badania, oparto się na wynikach prac przerwanych 20 lat temu. Dlaczego je przerwano? Dlaczego nie wykorzystano właściwie osiągnięć?

Świat naukowy oraz opinia publiczna spodziewała się wówczas efektów, których badania nie mogły dostarczyć. Czekano na błyskotliwe odkrycia, wielkie grobowce, duże ilości broni. Tymczasem znaleziono pojedyncze groby, rozrzucone po całym polu i niewielkie ilości oręża. Pozostałe po słynnej bitwie, co bardziej wartościowe okazy broni stanowiły 570 lat temu zbyt cenny łup dla pozostałych przy życiu rycerzy, aby pozostawili je współczesnym archeologom. Tak to nie spełnienie oczekiwań przyczyniło się do zatrzymania badań. Tej to niefortunnej decyzji zawdzięczamy opóźnienie wyników prac o co najmniej 20 lat.

Tymczasem wyniki badań archeologicznych z lat 1958–60 stanowią punkt wyjścia do prac dzisiejszych. Otóż, nie ulega wątpliwości, iż oboz wojsk polskich położony był na południowym skraju jeziora Lubień, w rejonie wsi Ulmowo. Zachowane są także fundamenty kaplicy zbudowanej w latach 1411–13 przez Krzyżaków dla „upamiętnienia 18 tysięcy poległych chrześcijan”. W ścianach tej kaplicy znaleziono przed 20 laty cztery zbiorowe groby. W dwóch z nich złożono zwłoki mężczyzn ze śladami urazów wojennych. W pozostałych znaleziono kości przeniesione prawdopodobnie do poświęconej ziemi z pobliskich grobów. W tym roku ekipa prof. A. Nadolskiego odkryła piątą grób masowy. Zawiera on szczątki kostne 55 mężczyzn. Wiek zmarłych, byli to mężczyźni młodzi i w sile wieku oraz ślady urazów wojennych wskazują, na uczestników bitwy. Znaleziono również część grotołów, bełtów i innego uzbrojenia. Biorąc pod uwagę te znaleziska można przypuszczać, że tu właśnie zlokalizowano oboz wojsk krzyżackich zdobyty w ostatniej fazie bitwy przez Polaków.

Tegoroczny sezon dostarczył także kłopotliwej technicznie niespodzianki. Prace wykopaliskowe wymagały bowiem przesunięcia ogromnego, ważącego kilkanaście ton kamienia. Miejscowa ludność nazywała ten kamień — kamieniem Jagiełły. Natomiast legendy niemieckie — kamieniem Urlika von Jungingen. W 1901 roku, z inicjatywy władz niemieckich i właścicieli ziemskich, przetransportowano ten ogromny blok na ruiny kaplicy i ozdobiło tablicą ku czci Wielkiego Mistrza Zakonu. W 1945 roku tablicę zdjęto. Kamień pozostał, a wraz z nim obie fałszywe legendy. Niemniej gład zasługuje na tablicę przekazującą jego własną już historię.

Przed 20 laty ustalono też pierwsze stanowisko króla Jagiełły, na skraju Doliny Wielkiego Strumienia, dzielącej pola Grunwaldu na dwie części. Twarde dno doliny doskonale nadawało się do walk kawalerii. Niestety, obecnie nie natrafiono w tym miejscu na materialne ślady bitwy.

Natomiast za sukces sezonu uważa prof. A. Nadolski — Dąbrówno. To niewielkie miasteczko, położone opodal pól Grunwaldu, zostało 13 lipca 1410 roku wzięte szturmem i spalone przez wojska polsko-litewskie. Jeden z listów królewskich pisany był właśnie pod Dąbrównem. W warstwie popiołu zachowały się doskonale liczne zabytki, tym bardziej cenne, iż rzucające nowe światło na fortyfikacje miasta.

Interpretacja wyników badań byłaby niemożliwa bez prowadzonych równoległe badań nad historią uzbrojenia i wojskowości specjalizacji łódzkiego Zakładu PAN, która m. in. zaważyła na powierzeniu pracownikom Zakładu badań na polach Grunwaldu. Efektem uprzednio wymienionych prac są m. in. wydawnictwa książkowe. W ostatnich dniach ukazała się praca A. Nowakowskiego „Uzbrojenie wojsk krzyżackich w Prusach w XIII i XIV wieku”, wydana przez Ossolineum i Łódzkie Wydawnictwo Naukowe. Aż trudno uwierzyć, że jest to pierwsza tego typu naukowa i obszerna publikacja w kraju.

Godnie uczciłaby 570 rocznicę zwycięstwa pod Grunwaldem książka A. Nadolskiego „Broń i strój rycerstwa polskiego w średniowieczu”. Niestety, pracę tę drukują Państwowe Zakłady Graficzne we Wrocławiu, które od dwóch lat opóźniają wydanie książki. Czytelnicy mogą więc dowiedzieć się o uzbrojeniu wojsk krzyżackich, natomiast o orężu własnych przodków pocztają później. Prawdopodobnie Zakłady Graficzne wyprzedziły wydawnictwo francuskie, które w przyszłym roku opublikuje artykuł A. Nadolskiego o uzbrojeniu wojsk walczących pod Grunwaldem. Wydawnictwa tego typu powinny być w stałej sprzedaży w księgarniach obok pól Grunwaldu. Mamy nadzieję, że autorzy projektu turystycznego zagospodarowania tego terenu uwzględnią je w swoich planach.

Spółeczny komitet z prof. Wiktorem Zinem na czele, czuwający nad realizacją uchwały Prezydium Rządu, czeka mnóstwo pracy. Aby na pola Grunwaldu przyciągnąć turystów, trzeba zadbać o dojazdy, parkingi, hotele, gastronomie, sprzedaż pamiątek, jednym słowem o wszystko, co potrzebne turystyce. Zwiedzający będą także szukali dokładnej, rzetelnej informacji o zdarzeniach sprzed 570 laty. Niezbędna jest więc na miejscu muzealna ekspozycja, wyjaśniająca i kształcąca zarazem, tak, abyśmy w kolejne rocznice bitwy pod Grunwaldem wiedzieli o niej więcej niż dziś.

BARBARA SKIBA

P. S. W badaniach biorą udział również: prof. dr hab. A. Abramowicz, doc. dr hab. T. Poklewska, dr M. Głosek, dr A. Nowakowski, dr B. Łuczak z Łodzi oraz grupa archeologów z Muzeum Warmii i Mazur w Olsztynie. Koordynatorem prac naukowych z ramienia społecznego komitetu jest prof. dr Witold Hensel.

L

Edward Abramowski urodził się 17 sierpnia 1868 roku w Stefaninie, w guberni kijowskiej, w zamożnej rodzinie szlacheckiej. Wychowywał się w atmosferze zrozumienia dla tradycji narodowych i demokratycznych, sympatii dla nowych prądów społecznych, w klimacie sprzyjającym rozwojowi umysłu i uczuć. Wszystko to ukształtowało w nim naturę subtelna i wrażliwa, czuła na krzywdę i niesprawiedliwość społeczną, zrodziło w nim poczucie silnej więzi z innymi ludźmi oraz konieczność przeciwdziałania się znu, jakie życie przynosi. Jako piętnastoletni chłopiec powie: „Mam więc wszystko od ludzi: życie, dobrobyt, naukę. To wszystko jestem im dłużny.”

W 1879 roku, po śmierci matki Edwarda, ojciec jego wraz z rodziną przeniósł się do Warszawy. Tu rozpoczął się dla Abramowskiego okres bardzo intensywnego kształcenia. Uczył się w domu pod kierunkiem wybitnych nauczycieli — czołowych postaci życia umysłowego ówczesnej epoki: Marii Konopnickiej, Konrada Prószyńskiego, Zygmunta Pletkiewicza. Starannie dobrani nauczyciele i wychowawcy dali Abramowskiemu gruntowne i wszechstronne wykształcenie, znacznie wykraczające poza program ówczesnego gimnazjum.

Bardzo wcześnie rozpoczął działalność publicystyczną. Na łamach pisma „Zorza” opublikował w 1883 roku „Pogadanki o rzeczach pożytecznych” i w 1884 roku „Pogadanki z gospodarstwa społecznego” — artykuły, w których propagował idee oświecenia ludu i tworzenia instytucji kulturalno-oświatowych na wsi i w mieście.

Pierwsze zetknięcie Abramowskiego z ruchem robotniczym nastąpiło w początkowych 1885 roku, w schyłkowym już okresie działalności Wielkiego Proletariatu. Poznał wtedy, za pośrednictwem Konopnickiej i Pletkiewicza, niektórych działaczy należących do kierownictwa partii, m. in. braci Pławieńskich, M. Bohuszewiczównę i M. Manciewicz.

Po kolejnej fali aresztowań proletariackich w 1885 roku, Abramowski wiedziony obawą utraty wolności (mimo że jego kontakty z partią miały luźny charakter), jak i chęcią podjęcia studiów, przeniósł się do Krakowa. Studia rozpoczął na wydziale przyrodniczym w charakterze wolnego słuchacza. Studiował fizykę, botanikę, zoologię i anatomię. Wybor tych właśnie kierunków nauki wyjaśniać można chyba tym, że w owym cza-

sie inspirował go pogląd pozytywistów. W Krakowie Abramowski zakładał kółka młodzieży socjalistycznej wśród studentów i rzemieślników, brał udział w organizowaniu przemysłu literatury nielegalnej z zagranicy na ziemi polskiej. Zagrożony w 1886 roku aresztowaniem opuścił Kraków i udał się do Szwajcarii. Jako słuchacz wydziału przyrodniczego na

ANDRZEJ NIEWIADOMSKI

EDWARD

uniwersytecie w Genewie początkowo kontynuował swoje zainteresowania z okresu krakowskiego, wkrótce jednak porzucił je, aby poświęcić się naukom humanistycznym: filozofii, historii gospodarczej i historii społecznej. Brał żywy udział w życiu politycznym emigracji studenckiej w Genewie. W jego mieszkaniu mieściła się czytelnia, będąca miejscem stałych spotkań młodzieży. Ze spotkań tych wyłoniła się organizacja o charakterze socjalistycznym — Zjednoczenie Młodzieży Polskiej.

Abramowski nawiązał stosunki z genewską grupą emigracji socjalistycznej i rozszerzał swoje kontakty z organizacjami socjalistycznymi w Warszawie. W końcowym okresie pobytu w Genewie (wyjechał w 1889 roku) był już Abramowski zdeklarowanym socjalistą i czynnym rewolucjonistą. W Genewie szeroko studiował literaturę marksistowską, zwłaszcza prace K. Marksa i F. Engelsa. Koncentrował przy tym swoje przemyślenia i refleksje na założeniach metodologicznych marksizmu oraz wnioskach wynikających z nich dla praktyki życia społecznego. W Szwajcarii istniała szeroko rozbudowana sieć różnorodnych organizacji robotniczych oraz zlokalizowane były liczne grupy emigracji socjalistycznej z wielu państw europejskich, co ułatwiło korzystanie z ich dorobku teoretycznego, jak i z doświadczeń programowych i taktyczno-organizacyjnych.

Na wiadomość o tym, że ruch robotniczy w kraju uległ rozbiuciu w wyniku masowych aresztowań (II Proletariat) kierownictwo ośrodka emigracyjnego zaproponowało Abramowskiemu powrót do Warszawy. W War-

szawie Abramowski zorientował się, że wśród socjalistów w kraju zarysowały się rozbieżności stanowisk co do niektórych węzłowych problemów ruchu robotniczego. Zabiegał o możliwie pełną konsolidację całego ruchu. Nie udało mu się jednak stworzyć partii, która obejmowałaby cały organizujący się ruch robotniczy i zespolała go pod względem ideowo-

politycznym. Dlatego też w 1891 roku zdecydował się powołać do życia spośród swoich zwolenników nową organizację — Zjednoczenie Robotnicze. W 1892 roku Abramowski zagrożony aresztowaniem ponownie wyjechał do Genewy.

Wśród polskiej emigracji socjalistycznej trwały przygotowania do zjazdu zjednoczeniowego wszystkich nurtów socjalistycznych. Abramowskiemu powierzono samodzielne przygotowanie projektu programu dla przyszłej zjednoczonej partii. Na zjeździe powołano Zagraniczny Związek Socjalistów Polskich oraz podjęto uchwałę o utworzeniu w zaborze rosyjskim Polskiej Partii Socjalistycznej i przyjęto jej program. Nie był to jednak program Abramowskiego, który odrzucono, choć zaczerpnięto z niego wiele sformułowań.

Program Abramowskiego różnił się od przyjętego na zjeździe m. in. tym, że był bliższy rewolucyjnym tradycjom polskiego ruchu robotniczego, szerzej nawiązywał do doświadczeń ruchu zachodnioeuropejskiego, nie formułował postulatów separatyzmu w stosunku do ruchu rosyjskiego, podkreślał konieczność internacjonalistycznej solidarności proletariatu polskiego z proletariatem państw zaborczych, negował terrorystyczną formę walki.

Niemniej Abramowski pogodził się z programem przyjętym w Paryżu, a jako członek centrali ZZSP, w miarę upływu czasu, coraz wyraźniej solidaryzował się z oficjalnym stanowiskiem programowym i faktyczną linią polityczną partii. W roku 1895 rozpoczął się proces odchodzenia Abramowskiego od ruchu socjalistycznego. W tym też czasie zrezygno-

— te odbywają się w mniejszych kaplicach — służy jako miejsce oficjalnych ceremonii i obrzędów związanych z nadaniem życia duchowemu mormonów wymiaru ponadziemskiego. Odbywają się tu, między innymi, chrzty zmarłych. Ołbrzymiej wielkości chrzcielnica ma wygląd złotej ornamentowanej misy, do której schodzi się po schodach, a która spoczywa na grzbiętach dwunastu wolnów, ustawionych w koło, głowami na zewnątrz. Inne wnętrza przypominają raczej barokowe sale balowe niż kościoły. Bogato zdobione, pokryte puszystymi dywanami, wypielnione meblami o antycznych kształtach mają symbolizować wzniosłe bogactwo duszy mormonów.

Ceremoniami, dla których rezer-

robią mormoni w czasie swoich uroczystości kościelnych. Są one najczęściej rytualizowanym, scenicznym odtwarzaniem poglądów i historii kościoła i nie zmieniały się od czasów, gdy zostały ustalone przez Josepha Smitha i jego pierwszych „apostołów”. Uroczystość „obdarzania” należy do najciekawszych i najdłuższych obrzędów. Trwa ona cały dzień. Po przybyciu do świątyni „święci” rozbierają się i wzajemnie, w oddzielnych pomieszczeniach dla mężczyzn i kobiet, obmywają, a następnie namaszczają olejkami. Wykonuje się to dokładnie, przy akompaniamentie odpowiednich modlitw. Dopiero teraz założyć można szaty kościelne: białą i togi.

Rozpoczyna się amatorskie, sceni-

KRZYSZTOF ANDRZEJCZAK

NAJDZIWNIEJSZA

wuje się cały splendor mormońskich „świętych” są tzw. pieczętowania (sealing ceremonies). Pieczętuje się przystępujących do ślubu kościelnego nowożeńców. Zostają w ten sposób połączeni nie tylko na życie, ale i na wieczność. Pieczętuje się na wieczność dzieci wraz z rodzicami, także dzieci przybrane. Mormoni wierzą, że chwala życia pozagrobowego zależy, między innymi, od wielkości rodziny. Powiększanie jej i umacnianie na ziemi daje znaczące przywileje po śmierci.

Jak wyglądały chrzty zmarłych, pieczętowania i inne ceremonie kościelne niemormoni tego widzieć nie powinni. Do świątyni dostać się mogą tylko ci, którzy posiadają specjalne pozwolenie wydane przez miejscowego biskupa i inne osobistości Kościoła Współczesnych Świątyni. Wobec świadków składają oni uroczystą przysięgę dochowania w tajemnicy tego, co dzieje się w murach świątyni. Za złamanie przysięgi tradycyjnie grozi się wypruciem wnętrza lub podcięciem gardła. Groźby te nie powstrzymują wielu od odstąpienia od mormonizmu i ujawnienia jego tajemnic, pisania pamiętników i rozpraw naukowych.

Lektura tych ostatnich pozwala dość dokładnie wyobrazić sobie, co

czne odtworzenie powstania świata. Biorą w nim czynny udział ci, którzy otrzymać mają „obdarzenie”. Rozdaje się dodatkowe rekwiizyty, np. małe fartuszki z listkami figowymi niezbędne do sceny o upadku Adama. Wśród kolejnych punktów programu znajduje się nadanie nowo przyjętym członkom imion pochodzenia biblijnego jak: Abraham, Sara czy Enoch, oraz ceremonia „przejścia przez zasłonę”, obrzymią kotarę przedzielającą pokój, mającą przypominać zasłonę ze świątyni Salomona i symbolizować wejście do królestwa niebieskiego.

Akty pieczętowania i obdarzania mogą być dokonywane nie tylko na żywych, czynnych członkach kościoła. Robi się to także na rzecz osób zmarłych nawet wiele lat temu. By wiadomo było kto wśród żywych czy zmarłych wstąpił w grono „świętych” mormoni prowadzą, nieznanym innym organizacjom religijnym, dokładny kompleksowy system rejestracji nazwisk wszystkich swoich wyznawców. Specjalnie w tym celu zbudowana biblioteka genealogiczna, największa chyba tego typu na świecie — ponad miliard zebranych z całego świata, utrwalonych na mikrofilmie, dokumentów, metryk, etc. — otwarta jest dla tych, którzy pragną

wał z zasad marksistowskiej metodologii badania zjawisk i procesów społecznych i z teorii socjalizmu naukowego. Zaczął wtedy rozwijać teorie: fenomenalizmu socjologicznego, rewolucji moralnej, socjalizmu bezpaństwowego oraz kooperatywu. W tym okresie również zaangażował się w działalność społeczną, dzięki której próbował realizować w życiu własne

społecznej, takie jak doktryny i prądy polityczne, filozoficzne, religijne, artystyczne itp. ujmowane jako elementy szerszej struktury światopoglądu charakterystycznego dla ustroju feudalnego. Ukazał związki form i treści myślenia z atmosferą psychologiczną epoki oraz ze stosunkami społecznymi, w których na pierwszy plan wysunęły się: typ produkcji oraz kla-

rozwoj umysłowości ludzkiej — rozwój obejmujący sobą wzrost sumy pojęć (wyobrażeń) nabytych przez ciąg życiowych doświadczeń, zależny od tego rozwoju zdolności myślenia — przez wzrost tworzących się asocjacji pojęć — jako też związane z poprzednim różniczkowaniem się wrażliwości, pożądań. Z rozwoju umysłowości ludzkiej wynikają trzy zasadnicze procesy rozwojowe — oddziałujące bezpośrednio na społeczne zmiany. Są to: 1. wzrost siły wytwórczych, 2. ułatwienie stosunków międzyludzkich (komunikacji) prowincji krajów, 3. wzrost potrzeb — zwiększenie stopy życiowej. Te trzy procesy rozwojowe przy wzajemnym stykaniu się potęgują się.

W innym miejscu Abramowski te zależności pokazuje następująco: „Gdyby rozwój umysłu ludzkiego zdołał być zatrzymany przez jarzmo teologiczne i zaściankowano feudalną, gdyby ogłupienie zdołało skamieniać wszystkie mózgi, przenosić się dziedzinie i położyć tam psychologicznej ewolucji — feudalizm pozostałby wiecznie. Fakt podobny jest jednak niemożliwy — rozwój mózgu objawia się przez samo życie (...) Tylko zniszczenie pracy produkcyjnej umożliwiłoby sztuczne zatamowanie rozwoju umysłowości (oddzielenie człowieka od natury, pozbawienie go wszelkich czynności). Fakt zaś taki jest absurdem”.

Czynnik ekonomiczny nie był dla Abramowskiego główną determinantą społecznego rozwoju w każdym warunkach i w każdym czasie: wysuwa się na czoło w okresach powolnego narastania zmian głównie ilościowych, powodując powstanie nowych społecznych potrzeb i idei, po czym jak gdyby spełniwszy swoje zadanie usuwa się na dalszy plan. I tu wzrasta rola czynników subiektywnych: filozofii, religii, ideologii, moralności, psychologii. Towarzyszy im wzmożony ruch społeczny, klasowy.

„Idea — wytwór zmian, zaszytych w technice i w interesach produkcji, rozszerzając się w społeczeństwie, staje się czynnikiem przyspieszającym rozwój tego procesu, który je wytworzył”.

Abramowski sugerował następującą prawidłowość: coraz większe znaczenie czynnika subiektywnego w historii. O ile niewolnictwo i feudalizm były ustrojami, które powstały na skutek koniecznych, żywiołowych procesów w sferze ekonomiki i nie wymagały powstania rozległych doktryn teoretycznych procesy te uzasadniających (autor wskazał: że chrześcijaństwo akceptowało tylko

zastane stosunki, przystosowując swoje założenia do ówczesnych zmian, jakie dokonywały się wraz z narastaniem ustroju feudalnego), to rewolucja burżuazyjna została poprzedzona przewrotem w sferze świadomości społecznej: filozofii, ideologii, moralności. Konflikty społeczne przenoszą się jak gdyby w coraz większym stopniu do głów i sumień ludzkich, a proces ten nasila się w okresie narastania rewolucji socjalistycznej. Łączy się to z poglądem Abramowskiego na walkę klas, która, według niego, odgrywa decydującą rolę dopiero w czasach nowożytnych.

Obok omówienia wielowariantowości relacji między czynnikami ekonomicznymi a świadomościowymi pojawia się u Abramowskiego w jego pracy „Feudalizm” rozważania natury psychologicznej.

„Przezwrot psychiczno-społeczny odbywa się w niedostrzegalnie stopniowy sposób w ciągu wieków całych. Trzeba żeby jakiś nowy czynnik społeczny już wytworzył się i działał, zmieniając życiowe warunki, żeby zaczął odbywać się proces zmieniania się pewnych cech moralnych. Przystosowanie się do odbywa się szybko — wskutek tego — że zwykle pojawia się w okresie przejściowym pewna grupa ludzka umysłowa, grupa umysłów bardziej rozwiniętych, która dość wcześnie wytwarza system pojęć, idei, będących wyrazem interesów rozwijającej się klasy, a zarazem podstawą tej umysłowości całej, która zapanować ma w naszym ustroju”.

Abramowski wskazuje też i na inną stronę uwarunkowań psychicznych:

„Potrzeby ludzkie, gusta, pożądanja, nie mogą zatrzymać się na jednym miejscu, podobnie, jak pojęcia; doświadczenie życiowe pcha je ciągle naprzód — wytwarza ich stopniowo samodzielną rozwój”.

Ciekawa jest formuła techniczno-ekonomiczna, skonstruowana przez Abramowskiego, stanowiąca kryterium wyodrębnienia formacji:

I okres. Komunizm. Praca osobnika = utrzymanie osobnika;

II okres. Niewolnictwo. Praca osobnika = utrzymanie osobnika;

III okres. Feudalizm. Praca osobnika = utrzymanie osobnika + nadwartość;

IV okres. Kapitalizm. Praca osobnika = utrzymanie osobnika + nadwartość spożyta przez pana + nadwartość mogąca się mnożyć (kapitał). Dla twórczości Abramowskiego w interesującym nas okresie, typowy pogląd, który zawiera się w cytacie z

jego pracy „Nowy zwrot wśród fałszerów amerykańskich”.

„Na tem ciągle wzajemnem oddziaływaniu zjawisk rzeczowych i świadomości ludzkiej, będących sobie na przemian przyczyną i skutkiem zasadza się cały rozwój społeczeństw”.

III.

Lata dziesięćdziesiąte ubiegłego stulecia można uznać za moment zwrotny z punktu widzenia zainteresowania doktryną Marksa w ogóle, a materializmem historycznym w szczególności. Pozostawało to w bezpośrednim związku z wyraźnym ożywieniem i bujnym rozwojem ruchu socjalistycznego w Europie i z tym, że marksizm stał się wówczas dominującą ideologią tego ruchu. Dopiero w latach dziewięćdziesiątych pojawiły się pierwsze większe publikacje marksistów „drugiego pokolenia” traktujące o materializmie historycznym, choć koncepcje ekonomiczne autora „Kapitału” wcześniej już uściłowano spopularyzować. Tak więc w roku 1893 Franz Mehring napisał niewielką, ale ważną pracę „O materializmie historycznym”. Kilka prac ogłosił Jerzy Plechow m. in. „Przyczynki do zagadnienia rozwoju monistycznego pojmowania dziejów”. Wtedy też ukazały się prace Antoniego Labrioli: „Ku upamiętnieniu Manifestu Komunistycznego”, „O materializmie historycznym”. Szerzej prac opublikował też Karol Kautsky.

Dla polskiego ruchu robotniczego ważne jest to, że w tamtych latach w jego szeregach znalazł się teoretyk wysokiej miary, którego głos w toczących się wtedy dyskusjach był bardzo istotny, choć chyba niedoceniany. Jego rozważania oparte są na bardzo szerokiej wiedzy, koncepcje klarowne, dobrze argumentowane, w wielu miejscach chciałoby się powiedzieć „nowoczesne”.

Punktem wyjścia dla Abramowskiego była inspiracja marksistowska, przy jednoczesnym konsekwentnie krytycznym stosunku do obiegowej wersji materializmu historycznego w wykonaniu tzw. ortodoksyjnego marksizmu.

Co chyba najistotniejsze: propozycje Abramowskiego będące próbą przezwyciężenia ograniczeń mechanistycznej interpretacji materializmu historycznego, wskazywały, że rzeczywistość jest pewną strukturą dialektycznie powiązanych sfer życia społecznego.

ABRAMOWSKI

koncepcje teoretyczne. Oceniane jako reformistyczne, znane pod określeniem „socjalizm etyczny”. Przystąpił wówczas do tworzenia „kół etyków” i „związków przyjaciół” oraz zasłynął jako wybitny działacz spółdzielczy.

Obok zainteresowań kwestiami społecznymi Abramowski poświęcił się również badaniom nad problematyką człowieka. Ten typ badań przeważał w ostatnim okresie jego twórczości, kiedy to napisał liczne prace teoretyczne z dziedziny psychologii. Wtedy też poświęcił się organizacji instytucji naukowych i pracy dydaktycznej.

Zmarł 21 czerwca 1918 roku w Warszawie.

II.

W latach 1889—1893, w okresie najaktywniejszej działalności Abramowskiego w ruchu socjalistycznym, jego zainteresowania naukowe koncentrowały się na problematyce ekonomiczno-społecznej. Napisał w tym czasie: „Społeczeństwa rodowe”, szkice studiów poświęconych feudalizmowi — „Społeczeństwa feudalne” i kapitalizmowi — „Kapitalizm”, nieukończoną pracę „Feudalizm”, które miały stanowić syntezę historii gospodarczo-społecznej Europy od V do XIX w., oraz „Nowy zwrot wśród fałszerów amerykańskich”.

Z wymienionych prac najbardziej rozbudowana jest „Feudalizm” (400 str.), praca oparta na obszernym i różnorodnym materiale, odnoszącym się do krajów Europy południowej i zachodniej, który obejmuje fakty społeczno-ekonomiczne ze szczególnym uwzględnieniem zjawisk z zakresu kultury duchowej. Abramowski poddał analizie różnorodne formy myśli



sy społeczne i ich wzajemny układ. Bardzo wyraźnie daje się zauważyć w wymienionych pracach, że Abramowskiego interesował przede wszystkim proces społeczny i prawidłowości w zakresie dynamiki społecznej. W rozwoju społecznym występuje, wedle Abramowskiego, swoista dialektyka rzeczy i idei. O ile w pierwszym okresie zmian decydujący jest rozwój czynnika ekonomicznego, który przynosi w konsekwencji wzrost społecznych zdolności i potrzeb, to w następnej fazie danego ustroju na czoło wysuwa się znaczenie idei, które spełniają wtedy rolę głównego czynnika przewartościowania. Pokazując proces rozkładu feudalizmu, autor pisze:

„Czynnikiem rozkładowym każdego ustroju — a przeto i feudalnego — jest

uzupełnić wiedzę o swym drzewie genealogicznym i zostać ochrzczone w imieniu jakiegoś dawno zapomnianego przodka.

Zadna tradycja religijna nie przyniosła mormonom więcej rozgłosu i zmasowanej opozycji niż poligamia. Od początku była ona drastyczną barierą między nowo powstałym kościołem i tradycjami społecznymi kraju. Przeciwnicy Amerykanin drugiej połowy XIX wieku, często dość liberalni w sferze polityki, przekonani religijnych, nawet problemów rasowych, niechętnie patrzyli na wszelkie komunij i organizacje próbujące odeść od typowych zachodnich tradycji kulturowych i społecznych wyrosłych z chrześcijaństwa. Tymczasem na Biblię właśnie powo-

wojnie z Meksykiem (1846—48) mormoni zgłosili chęć przyłączenia terytorium Utah, które nazywali Deseret, do Unii, ale Kongres nie wyraził zgody, wskazując poligamię jako główne źródło odmowy. Gdy w 1857 roku prezydent Buchanan wysłał do Utah oddziały federalne by zastąpić Younga niemormońskim gubernatorem, mormoni odczytali to jako akt kolejnej agresji. Postanowili bronić się, a jeśli zajdzie potrzeba, wycofać i spalić Salt Lake City, uczynić według słów Younga „Moskwę z Utah”. W walce sprzymierzyli się z Indianami.

Najgroźniejszy epizodem nowej „wojny mormońskiej” była nie bitwa z oddziałami federalnymi, ale zdradziecki atak mormońsko-indiań-

W czerwcu 1878 roku usunięty został jeszcze jeden, ściśle przedtem przestrzegany ideologiczny anachronizm mormonów — niedostępność funkcji kościelnych dla ludzi pochodzenia afrykańskiego. Według „Księgi Mormona” ciemna skóra przeznaczona była dla tych, którzy popadli w nielaskę u Boga i nie zasługiwali na wejście w grono „świętych”. Głowa kościoła mormonów, Spencer W. Kimball, w wyniku, jak twierdził objawienia, ogłosił, że ograniczenia wobec ciemnoskórych przestają obowiązywać. Na możliwość zostania pełnoprawnym członkami kościoła czekało ponoć w USA kilkuset Murzynów.

Czy Kimball miałby tego rodzaju objawienie bez coraz to częściej pojawiających się głosów krytykujących religijny rasizm mormonów? Protesty pojawiały się szczególnie wśród młodych członków kościoła, nadchodzący z zagranicy. Nie wiadomo było, na przykład, kto może korzystać z nowobudowanej świątyni mormonów w Brazylii.

Duchowymi i doczesnymi sprawami kościoła kieruje „bosko natchniony prorok i wieszcz” zwany się przewodniczącym kościoła. Pomaga mu, pełniąc jakby funkcję wykonawczą, Rada Dwunastu, której członkowie zważają się apostołami. To oni właśnie, kierując się starszeństwem wybiegają przewodniczącego i jego dwóch zastępców. Dalej następują asystenci Rady Dwunastu oraz inne urzędy. Wszystkie one są aprobowane poprzez głosowanie na odbywających się dwa razy do roku konferencjach.

W Kościele Współczesnych Świętych nie ma zawodowego kleru. Do szeregów świętych duchownych mogą wchodzić męscy członkowie kościoła od lat 12. Sprawują oni w zależności od wieku i hierachii urzędy diakona, nauczyciela, kapłana, starszego, siedemdziesięciolatka i głównego kapłana. Nie otrzymują ze swe usługi wynagrodzeń pieniężnych.

Od młodych członków kościoła wymaga się aktywnego udziału w pracach misyjnych, często poza granicami kraju. Młodzi misjonarze muszą charakteryzować się nienaganną powierchowością oraz aktywną i ambitną postawą wobec życia. „Mormonizm reprezentuje teologiczną wersję amerykańskiej postawy praktycznej aktywności” stwierdza znawca mormonizmu Thomas O'Dea w książce „Mormoni”. Jest to aktywność szarmonizowana z dążeniami i wy-

slikami grupy, kolektywu. Mormoni zawsze kładli nacisk na życie zbiorowe. Pozwoliło to im przetrwać w przeszłości i zdobywać zwolenników obecnie. Dbają by nikt z ich społeczności nie był samotny i zagubiony. Istnieje doskonale zorganizowany system pomocy dla uboższych „świętych”. Każdy zobowiązany jest do zrezygnowania z dwóch posiłków w ciągu miesiąca i przeniesienie niewydatków pieniędzy na cele dobroczynne. Dużo uwagi poświęca się rodzinie. Zabrania się rozwodów, gani kontrolę urodzin, zachęca do tradycji wielodzietności, zjazdów rodzinnych, wspólnych zabaw. Tradycja tych ostatnich jest stara.

Mormoni od początku wierzyli w praktyczne znaczenie maksymy zawartej w „Księdze Mormona” mówiącej, że „ludzie są po to, by się radowali”. Idąc szlakiem do Utah „święci” kończyli znoje całodziennego wędrówki tańcami i śpiewami przy ognisku. W śpiewie starali się znaleźć ukojenie, gdy otaczali ich głód i śmierć. Jedną z ulubionych piosenek był wtedy stary psalm (z którego zespół Boney M uczynił swój wielki przebój) zaczynający się od słów:

„Nad rzekami Babilonu siedaliśmy i płakaliśmy.

Płakaliśmy bo pamiętaliśmy Syjon...”

Rozwój fizyczny, rekreację i zabawy uważa się za formy doskonalenia się jednostki, jak nauka i praca prowadzą one do boskości. Kościół patroluje zajęciem sportowym, muzycznym, sprawnościowym młodzieży, organizacją życia harcerskiego, organizuje lokalne i ogólnokrajowe konkursy sportowe i amatorskie zespoły teatralne. Udział w nich uważany jest za formę aktywności religijnej. Mormoni od początku uczyli także o szkodliwości alkoholu, kawy i herbaty. Ściśle przestrzeganie tych nakazów nazwanych przez Smitha „słowem mądrości” jest obecnie warunkiem wejścia w grono „świętych”.

Mormoni kultywują tradycję pisanie pamiętników i prowadzenia badań historyczno-genealogicznych. Co druga rodzina idąca szlakiem do Utah posiadała regularnie pisany dziennik. Następne pokolenia traktowały je jako rodzinne skarby. Dziś są źródłem wielu naukowych opracowań. Wszystkie przemówienia Brigham Younga były stenografowane przez towarzyszących mu reporterów. Szlak do Utah jest jednym z najlepiej udokumentowanych etapów biał-

tego osadnictwa w Ameryce Północnej.

Ocena mormonizmu, nawet najbardziej skrótowa, jest zadaniem niewdzięcznym. Łączy on w sobie skrajne wartości i skrajne postawy. Mormoni byli jedynymi z najlepiej zorganizowanych i najbardziej dyscyplinowanych osadników, ich wiedza i osiągnięcia należą do najpiękniejszych kart kolonizacji Ameryki. Z założonych przez nich osad i mostów, z ich map i dzienników korzystali ci, którzy zdobywali daleki zachód, szczególnie Kalifornię i Oregon. Członkom Batalionu Mormońskiego (stworzonego z kilkuset mormonów, na prośbę rządu federalnego do udziału w wojnie w Meksyku) przypisuje się często uczestnictwo w odkryciu złota w Kalifornii. Jego blask i urodzajne ziemie tej krainy nigdy nie zwabiły społeczeństwa „świętych”.

To wszystko jednak, co zdarzyło się przed wyprawą do Utah, odkrycia i objawienia Josepha Smitha, napawały w najlepszym razie sceptycyzmem. Ale działalność Smitha, cała ideologia kościoła mormonów, powinny być widziane przede wszystkim jako odbicie licznych aspektów społeczno-religijnych Ameryki pierwszej połowy XIX w. Okres ten charakteryzowało ścieranie się liczących doktryn religijnych, rosnąca popularność różnego rodzaju komun i sekt, wyraźne przejawy niechęci zarówno wobec protestantyzmu jak i katolicyzmu, zainteresowanie społeczeństwa Indian amerykańskich i związane z nimi różne fantastyczne teorie. Smith zawarł to wszystko w swych doktrynach. Dodał do nich własne religijne niepokoje i ambicje. Niewątpliwie dobrze znał angielskie tłumaczenie Biblii, „Księga Mormona” bardzo przypomina jej styl i słownictwo. Stworzył nową wersję chrześcijaństwa, pierwszą religię białych Amerykanów łączącą Stary i Nowy Testament z czasami nowożytnymi i kontynentem amerykańskim oraz jego tem etnicznym. Uwolnił ją od wpływów i tradycji chrześcijaństwa europejskiego.

Czy wymyślał z zimną krwią, czy też tworzył z autentycznej duchowej inspiracji nie wydaje się tu być istotne. Założył dziwną, złożoną ideowo, ale społecznie ambitną instytucję, której interpretacja wymyka się całościowym definicjom. Rozważana szczegółowo, często zasługuje na uwagę, bowiem ujawnia wiele aspektów i prawidłowości amerykańskiego tygla kulturowego.

KSIEGA AMERYKI

łał się Joseph Smith, gdy w sierpniu 1843 r. w niecały rok przed śmiercią z rąk rozniewanego motochu z okolicznych miasteczek ogłosili, początkowo tylko w gronie „apostołów”, tekst swego objawienia, w którym przyznał poligamii status oficjalnej doktryny. Cytując Stary Testament przypominał, że Abraham, Jakub, Dawid, Salomon i Mojżesz mieli z woli Boga wiele żon i konkubin. Sam praktykował wielożenstwo jeszcze przed 1843 rokiem. Życiu seksualnemu i prokreacji nadał charakter religijny obowiązek. Za przykładem Smitha poszli niektórzy jego zwolennicy oraz następcy przyjmując liczne „duchowe żony”, często zamężne. Liczne kobiety i ich rodziny odrzuciły nowe praktyki, spora część pierwszych mormonów nigdy nie brała w nich udziału. Wielożenstwo, potwierdzone w oficjalnej, publicznej odczytanej w wydanej w Salt Lake City w 1852 roku, nie stało się powszechne. Jednocześnie nigdy nie było ono źródłem wewnętrznych sporów Kościoła Współczesnych Świętych. Liczbę rodzin wielożeńskich ocenia się pod koniec XIX w. na około 10 procent.

Doprowadziło ono jednak do ponownego konfliktu mormonów z Ameryką. Po zwycięskiej dla USA

ski na grupę wrogo nastawionych wobec mormonów, ale nie przygotowanych do walki osadników udających się do Kalifornii. Zginęli wszyscy dorośli członkowie grupy, ponad 120 osób. Masakra ta, nie planowana, historyczny akt gwałtu, stała się czarną kartą w historii społeczeństwa mormońskiego. Wybuch wojny secesyjnej zmusił Waszyngton do wycofania się z Utah. Walka z mormonami przejęła formę prawną. Trwała wiele lat. Poddawani sankcjom ekonomicznym i politycznym, widząc nieustępliwie stanowisko rządu i społeczeństwa „gentili”, przywódcy mormońscy postanowili w 1896 roku uznać praktykę poligamii za zakończoną. W tym samym roku Utah przyjęło stało się Unii.

Wielu mormonów, także najwyższych dostojników kościoła, nie mogło pogodzić się ze zniesieniem przywileju wielożenstwa. Tradycja opozycji w tej sprawie przetrwała, mimo kościelnych ekskomunik, do dnia dzisiejszego. Zwolennicy poligamii zwący się „fundamentalistami” liczą dziś prawdopodobnie kilka tysięcy osób. Łączą się w tajne organizacje, żyją we własnych, oddalonych od miast koloniach. Darzeni są oficjalną dezaprobatą władz kościelnych i niechęcią jednoczących mormonów.

Po odsiedzeniu kolejnego wyroku, co nastąpiło w roku 1975, Wysocki zmienił się nie do poznania. Stało się to za sprawą kobiety. Wysocki po raz pierwszy w życiu zakochał się jak szubak. Zawsze był skryty, milczący, w trudnych chwilach „siedział na zaparte”, toteż nie wiadomo, czym się kierował zakładając rodzinę. Bo przecież przedtem czy później cała jego przeszłość mogła wyjść na jaw. A może po prostu zapragnął mieć wreszcie własny dom, rodzinę i żyć w poczuciu stabilizacji?

Żona, kobieta ze średnim wykształceniem technicznym, musiała mieć na niego duży wpływ. Wysocki bowiem zaczął

sąd łódzki musiał go skazać na sześć i pół roku za rozbój. Nigdy nie wysypał współuczestników napadów. Twardy, zimny, sztywny, zamknięty w sobie. Był więźniem niezwykle trudnym wychowawczo, demoralizował innych, stąd też nie nadawał się do żadnej pracy, ani w koszykarni, ani w POM, ani w dziale rybackim i kartoflarni. To on bił współskazanych, odmawiał pracy, barykadował się w celi. Protestując przeciwko zbyt wysokiej karze, odmawiał przyjmowania pokarmów, nie wstawał na pobudki, grypsował i nielegalnie się kontaktował. On też należał do inspiratorów zbiorowej głodówki i samouszkodzeń.

Zastanawiające, jak ten „spokojny szachista”, mógł być tak dobrym mężem i ojcem. Czy takim był rzeczywiście, czy też tak go przedstawiała żona, próbująca za determinacją iść mu na ratunek? Obecnie w sądach bardzo modne jest „wariacstwo”, toteż Wysocki odmawia zeznań i wyjaśnień, mówiąc jedynie na swoje usprawiedliwienie, że leczył się u neurologa na nerwy. „Leczyłem się także w szpitalu psychiatrycznym. Służby wojskowej nie odbywałem, ponieważ psychiatra nie wydał zgody na wojsko”.

Tylko, że dowodów na to nie ma, są jedynie dowody w kar-

kołach do taksówek, a sam czekał, gdyż miał jechać w całkiem inną stronę. W kolejkę stali przed magazynierem: wysoka, chuda blondynka w czarnym stroju (jak się później okazało w żalobie po narzeczonym Waldku) i jej partner, elegancko ubrany, młody, łysiejący blondyn. Oboje znani byli w kawiarni „Tip Top” jako działacze, a może nawet twórcy, z Kola Plastyków. A zgodnie z prawdą, to ten blondyn nazywał się Krzysztof W., miał wykształcenie wyższe niepełne, z zawodu instruktor wychowania fizycznego, ale prowadził własny warsztat przemysłowy, Ewa G., zaś zwana „Chuda”, zawód miała raczej wolny.

— Stary, jedź z nami do „Tip Top” — zaproponował serdecznie Krzysiek.

— Nie wiem, gdzie to jest, nigdy tam nie byłem — odpowiadał Zbigniew W.

— Pabianice nie zagranicel!

— Ale ja nie mam chęci. Została mi stawa, wystarczy w jedną stronę na taksówkę. A co na ubaw?

— Będzie, stary! — namiętnie krzysiek. — Mam sporo szmala do stracenia.

Zbigniew W. dał się namówić i pojechał taksówką marki fiat 125, za którą zapłacił Krzysiek. Drzwi kawiarni były zamknięte, bo szatniarz grał z mężem właścicielki w automaty bilard. Walili w drzwi, szatniarz kilkakrotnie odmknął i wrzeszczał, że nie ma miejsc. Zbigniew W. chciał wracać do Łodzi. Widząc stojącego między zaparkowanymi samochodami wysokiego blondyna w czapce z daszkiem i w długim, skórzanym, czarnym płaszczu, spytał, czy ten jest taksjarem i może go odwieźć.

— Kim jestem, to jestem — warknął zagadnięty. — Mam tu ważniejsze sprawy i niepotrzebna mi forsa za kurs do Łodzi.

A Krzysiek z Ewą nie ustępowali. Pukali i pukali, aż wy-

wał mu z głowy futrzana czapkę z rudego lisa, podszedł do „brązowego” i obaj zniknęli w uliczce, gdzie w słabo oświetlonym miejscu stała „Nysa”, obita niebieską blachą. Zbigniew W. udał się za nimi, zając zwrótu czapki. Tamci zagrozili, że jak się zbliży, to mu wyprują bebeczy, połamają kości, a w najgorszym wypadku mogą nawet zrobić zeń turpa. Kiedy podszedł, chwycili go za ręce, otworzyli boczne drzwi „Nysy” i wrzucili do ciemnego wnętrza. Siedział tam już kierowca, a z tyłu drugi osobnik, w białym kożuchu. Samochód ruszył bez zapalania świateł. Jechał w bliżej nieokreślonym kierunku, poza miasto.

— To były żarty — powiedział ten w czarnym płaszczu. — Taka nasza metoda na pijacków. Jestem inspektorem MO, ci trzej także z milicji. Wieziemy cię na Zeromskiego, żeby cię nie okradli. Wytrzeźwiej do rana.

— Nie jestem pijany! — zaprotestował W.

— No to odpowiesz za wprowadzenie władzy w błąd!

Na dany znak mężczyzna w brązowym kożuchu przytrzymał W. za wykręcone do tyłu ręce. W. zaczął się szamotać. Wtedy zaczęli go okładać pięściami i kopać. Ten w białym kożuchu jedną ręką rozciągnął mu usta, żeby nie mógł wydać dźwięku, a palce drugiej ręki wbił mu w oczy. Blondyn w skórzanym płaszczu zdjął mu zegarek marki „Atlantic” ze srebrną bransoletą, z ramienia ściągnął torbę typu „chlebak” w której były dokumenty, a następnie kożuszek z karakulów.

— Wypuść go — powiedział kierowca.

— Nie zatrzymuj się! — warknął ten w czarnym płaszczu. — Wyrzucę s... w błąd!

Prerażony W. wyrwał im się z rąk i uciekł na tył samochodu. Kierowca zatrzymał się i wygasił światła. W ręku blondyna błysnęło coś groźne.

— Wysiadać — syknął — bo pełnię!

I zdjął W. but z prawej nogi. Ciężko wystraszony magazynier wyskoczył z „Nysy”, pobiegł na tył samochodu, ale ponieważ była noc, a światła wygaszone, z numeru rejestracyjnego zdołał odczytać tylko literę „LDM”. Niebieska „Nysa” odjechała bez zapalania świateł, reflektory błysnęły dopiero po stu metrach. W. biegł z tyłu sądząc, że tamci skręca i zawrócą do Pabianic, ale samochód wkrótce zniknął za zakrętem.

Jak się okazało podczas wizji lokalnej, było to w polu, między Żytowicami i Hutą Janowską. Zbigniew W. doszedł do wsi, zapukał do pierwszego domu, gdzie kobiety dały mu gumowy but i poradzili iść do sołtysa. W drodze W. spotkał ob. Szkularkę, który zaprowadził go do sołtysa, lecz tam telefon był zepsuty. W. zadzwonił na milicję z sąsiedniej Spółdzielni Produkcyjnej.

Wydział Komunikacji Urzędu Miasta nie miał odrębnej kartoteki dla samochodów „Nysa”, gdyż wozy te rejestruje się identycznie jak inne pojazdy, prywatne czy państwowe. W kartotece pojazdów utraconych KW MO w grudniu nie notowano kradzieży samochodu marki „Nysa”. W tej sytuacji trudno było ustalić sprawców zuchwałego porwania i rozbój. Ale szatniarz i właściciel kawiarni „Tip Top” bez trudu przypomnieli sobie, jak znany im z nazwiska mężczyzna w czarnym płaszczu wchodził w tę noc grudniową do kawiarni. Rozpoznali go również Krzysztof i Ewa, a przede wszystkim poszkodowany Zbigniew W. To był Wysocki. Jak zwykle „poszedł na zaparte”. Mimo inwigilacji środowiska przestępczego nie udało się ustalić pozostałych uczestników napadu, ani odzyskać zrabowanych rzeczy.

Pomoc żony na nic się nie zdała. Jej dziecko nie używało szybko ojca. Bo Wysocki, oprócz tego precyzyjnego manewru szachowego, popełnił jednak błąd. Biegł nie stwierdził, a nie objawów choroby psychicznej, ani cech niedorozwoju umysłowego. Następnie święta Bożego Narodzenia Wysocki będzie mógł spędzić z rodziną dopiero za osiem lat.

Dalszy ciąg ze str. 1

Nareszcie hotel. Zabieramy cięgi i jeszcze kilka innych części zapasowych. Dotankowujemy stuoktanowego (specjalnie dla zawodników) paliwa i gnamy w góry. Kierunek — Kudowa. Deszcze leje nadal. Drogi puste. Kiedy dojeżdżamy do Żabkowic, okazuje się, że trasa E-12 jest nieprzejezdna. Woda przelewała się przez drogę i podmyła ją. W rozlewisku tkwią ci, którzy wierzyli, że przejadą. Nam nie wolno ryzykować. Musimy dojechać!

Wracamy. Błądzimy po wsiach i miasteczkach. Nareszcie dojeżdżamy do drogi głównej. Pełny gaz! Z czasem coraz ciśnieć. Z daleka widzę czerwone, pulsujące światła. Kiedy podjeżdżam, zmoknięty milicjant informuje mnie, że dalsza część drogi jest dla zawodników zamknięta. Wzruśnięty atlas. Są drogi jeszcze gruntu, ale ci przejeżdżaj!

Naprzód! Śliska, glinasta nawierzchnia, nie pozwala rozwinać szybkości. Auto zachowuje się jak na lodzie. Marzę, żeby wyjechać na asfalt. Wreszcie przestało znieść, w reflektorach szklista powłoka kostki bazaltowej. Dobra nasza, możemy jechać szybciej!

Dojeżdżamy do Woliborza. Już z daleka widać żółte lampy wozów serwisowych. Podjeżdżamy jak najbliżej i szukamy miejsca na parkowanie. Tłok jak na Piotrkowskiej w godzinach szczytu. Nadjeżdżają zawodnicy! Rozglądamy się, są wozy z numerami powyżej 90. Nasz ma numer 89, pewnie już przejechał. Zasięg informacji u zaprzyjaźnionego serwisanta. Widzieli go. Jedzie. Był tu kilka minut temu, naprawiał gaźnik.

Najbliższym punktem, w którym możemy go złapać, jest Zieloniec. Tam organizator przewidział dwugodzinną przerwę w I etapie. Będzie można wykorzystać ten czas na naprawę samochodu.

Siedem godzin minęło od startu. Zawodnicy przejechali ponad czterysta kilometrów po rajdowych drogach i bezdrożach pogórza Karkonoszy. Wyobrażam sobie, jak bardzo są zmęczeni, a do mety I etapu jeszcze prawie 600 km i kilka godzin w zamkniętym, pedącym z ogromnymi prędkościami pudle.

Aby czytelnik, nieświadomy prawdziwego sportu, mógł zrozumieć, dlaczego zawodnicy bezkarnie przekraczają nakazaną przez Kodeks Drogowy

prędkość, wyjaśniam. Ściganie odbywa się tylko na odcinkach specjalnych, wyłączonych z ruchu. Tam nie obowiązują normalne przepisy drogowe. Trasa jest odpowiednio zabezpieczona. Natomiast między OS (odcinkami specjalnymi) obowiązują przestrzegane szybkości nakazanej znakami. Za wykroczenie na drodze zawodnik płaci kuponem z karty kar. Za pierwsze — utrata jednego kuponu i kara finansowa 1000 zł. Za drugie — 240 sekund karnych. Za trzecie — wykluczenie z rajdu.

Przestało padać. Jesteśmy na odcinku specjalnym. Nerwowe oczekiwanie na zawodników. Nasłuchujemy. Jedzie! Góry przenoszą stokrotnym echem ryk silnika. To Porsche 911 Hiszpana Zaniniego; jego najgroźniejszy konkurent, Francuz Beguin, już nie jedzie, ukreślił półos w swoim wozie. Coraz bliżej huk silnika. Po górach ślizgają się jaskrawe światła jodowych reflektorów. Spada w dół! Oślepił światłami, ogłuszył silnikiem. Przemknął, znikając za zakrętem.

Z daleka już widać światła następnego, to Mauro Preglisio, Włoch, na Alfie Romeo. W tym momencie słyszę jakieś trzeszczenie. Nie potrafię określić, co to jest. Przypomina to dźwięk, jaki słyszy człowiek, któremu wyrwają ząb trzonowy.

Kiedy światła Alfę oświetla drogę, widzimy, że wali się na nią podmyte powodziele potężne drzewo... Zauważył to Preglisio i gwałtownie hamuje! Nie może zjechać z drogi, bo pobożna pełna są kibiców! Jedyny ratunek to dobre hamulce i technika jazdy. Opony piszczą, skrzynia biegów wyje przy redukcji, auto myszkuje po drodze.

Nie zdążył Krzyk kibiców i trzask miażdżonej karoserii. W ostatniej chwili rzucił jednak auto bokiem, zniszczył lewy tylny błotnik, ale uratował silnik — będzie walczył nadal.

Nadjeżdżają dalsi zawodnicy. Kibice wybiegają na drogę i ostrzegają przed niebezpieczeństwem. Ustawia się kolejka wozów. Ktoś sprowadza konie. Teraz, wspólnym wysiłkiem, przesunięto zawalidrogę i zepchnięto do rowu. Rajd ruszył dalej. Przerwa trwała 30 minut, organizator anulował ten odcinek, czas z niego nie będąc liczone do punktacji.

Ołbrzymi parking w Zieloncu. Przerwa. Zawodnicy odpoczywają w specjalnej otwartej o tej porze kawiarni (2 w no-

Ryszard Binkowski

pracować jako niewykwalifikowany robotnik i uczyć się w technikum wieczorowym. Mieszkał u teściowej, to chyba było również nie bez znaczenia bo życie małżeńskie Wysockiego toczyło się bez zgrzytów. Wysocki liczył się z teściową i dlatego wyrwał w surowym rygorze aż trzy i pół roku. Tyle też zaliczył technikum. Był już wtedy ojcem dwuletniego dziecka.

Kiedy teściowa zmarła, Wysocki poczuł się nareszcie swobodnie. Żona zeznała na milicji, że od tej pory w ich małżeństwie zaczął narastać konflikt. Później, już przed sądem, gdy dowiedziała się o wydarzeniach dramatycznej nocy grudniowej, całkowicie zmieniła zeznania. Zaprzeczała kategorycznie, jakoby mąż miał kiedykolwiek długi, skórzany płaszcz, a więc na pewno nie jego widziano w tamtą noc na kilka minut przed porwaniem człowieka. Najpierw twierdziła, że Wysocki całkowicie wyniósł się do swojej babci, później zaś oświadczyła, iż noc spędzał czasem u niej. A kiedy przekonała się, co mu grozi, zeznała, iż doskonale znała jego przeszłość, ale on przebywał zawsze z nią, był dobry, czuły, sumienny, nie utrzymywał żadnych kontaktów towarzyskich. Jako świetny szachista organizował sekcję szachową w klubie zakładowym, rozgrywał mecze, a poza tym był domatorem.

Jednakże w świetle jej zeznań, ich małżeństwo wyglądało dość dziwnie. Babcia źle się czuła, toteż Wysocki od początku grudnia aż do samych prawie świąt Bożego Narodzenia przebywał u niej. To znaczy, wyjaśniła żona, że nie mógł uczestniczyć w wydarzeniach w innym mieście. Po południu przychodził do żony, a na noc szedł do chorej babci. Do dziesiątego każdego miesiąca dawał dwa tysiące na utrzymanie dziecka. Ona utrzymywała się ze swoich pieniędzy, on miał swoje. Ostatnio zaczął zalegać z oddawaniem części pensji, ale małżonka mogła się tylko domyślać, co było tego przyczyną.

Ale nie wierzyła jeszcze, że Wysocki mógł się zatać, że pociągnęło go dawne życie. Bo tak naprawdę to nie nie wiedziała o jego dawnych występach. Nie wiedziała też, że porucił samowolnie pracę, przerwał naukę. Żył z tego, co dała mu chora babcia emerytka, obiady jadł u żony. W mezinach i w parkach grał w szachy na pieniądze. Zbliżały się jednak święta i Wysocki musiał mieć pieniądze na prezenty dla żony i dziecka, a poza tym pragnął oddać małżonce całą pensję. Wiele zawdzięczał tej kobiecie, która nieświadomie wyciągnęła go z błota, i nie chciał się zdradzić z tym, że ją oszukał. Nie chciał, aby się dowiedziała o nim prawdę.

A było co ukrywać. Wysocki został skazany przez sąd w Gdyni na dwa i pół roku więzienia za tak zwaną kradzież „zuchwałą”, z użyciem siły. Ledwie odsiedział wyrok, a już

SZA-

TA

ka nie pisał o pozostałych. Wzięto go na wytrzeźwienie do Komendy MO, a że Jan P. nie rościł żadnych pretensji, na jutro puszczono go do Łodzi.

Kiedy wieczorem, 13 grudnia, Wysocki opuszczał mieszkanie żony, nie udał się wcale do chorej, sklerotycznej babci, której reszta nikt później nie pytał, czy wnuczek spędził noc u niej. Bo Wysocki wcale nie powołał się na babcię, jako świadka jego alibi. Wysocki już wtedy miał „rozpracowaną w głowie” kawiarnię „Tip Top” i zorganizowaną pomoc ze strony trzech nieznanych osobników. Zapomniał tylko, że po tej bójce w lipcu personal kawiarni może go łatwo rozpoznać.

Tego samego wieczora (13 grudnia), młody magazynier z WPHW zabawił się z kolegami i koleżankami w restauracji „Savoy”. Do dwudziestej trzeciej magazynier Zbigniew W., odpłi około trzaski i wcale nie był na cyku, bo po czym?... Przy postoju na 22 Lipca powsadzał koleżanki i

CHIS-

szedł ten młody, tegi szatniarz, i wtedy do drzwi podbiegli mężczyzna w skórzanym płaszczu.

— Zjeżdżaj! — powiedział szatniarz. — Dla ciebie nie ma tu miejsca, rozumiesz?

— Umówiłem się z kolegą, czekam jak głupi, a on może tam siedzi. Wpuść, tylko popatrz.

Szatniarz go wpuścił i zamknął drzwi. Gość stanął w korytarzu i zaczął obserwować konsumentów. W tym czasie do drzwi jął się dobijać mężczyzna w brązowym kożuchu, krepę, z krótkimi, ciemnymi, gęstymi włosami, zakrywającymi mu uszy. Zderenowany rzucił pod adresem Krzyska:

— Stoisz jak na weselu, a ta twoja chuda k... ze mnie się śmieje. Co ona taka długa w chichocie?

— A tobie parametry nie grają?

W odpowiedzi ten w brązowym kożuchu rzucił się na Krzyska, ale instruktor w tak skontrolował, że tamten zleciał ze schodów. Zbigniew W. ruszył w stronę ulicy, ten w brązowym kożuchu dogonił go, bluzgał straszliwie i chciał się bić, ale W. nie chciał. Drzwi kawiarni zostały otwarte, szatniarz rozpoznał wreszcie „plastyków”, wpuścił ich, a na podjeździe pojawił się ten w czarnym płaszczu. Zbigniew W. spytał go, czemu „brązowy” chce się bić, a tamten odrzekł, że nie wie, głównie go to obchodzi, i żeby W. spał, bo go zwina. Zbigniew W., unikając bójki, dotarł na ulicę. Człowiek w skórzanym płaszczu podbiegł doń z tyłu, zer-

CIĄGLE NIE MA ZŁOTA

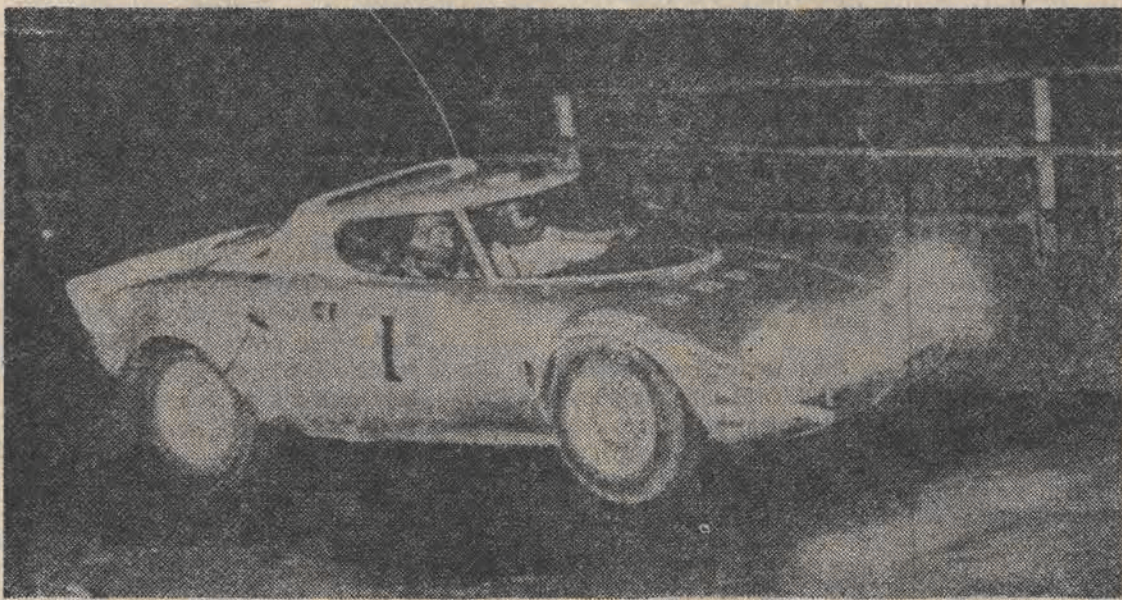
W studio telewizyjnym w Moskwie Tomasz Hopfer przygotował wielką ścianę na portrety naszych medalistów wszystkich trzech kolorów. Sciana ta powoli się zapalała, ale wolniej, niż bismy chcieli. Ciągłe też jeszcze nie ma na niej złotych medalistów. Tak przynajmniej było do wtorku rana, kiedy rozpoczął się jedenasty dzień Igrzysk Olimpijskich w Moskwie (29. 07. 1980). Tego dnia nastąpiła przerwa w zawodach lekkoatletycznych na stadionie w Łużnikach i na murawie boiska wbiegli piłkarze. A więc ciągłe nie ma jeszcze odpowiedzi na pytanie, jak spiszą się nasi skoczkowie o tyczce i nasz skoczek wzwyż. Tu jeszcze została nadzieja.

Przebieg moskiewskiej Olimpiady dowodzi, jak nikt bywałą nadzieję, jak szybko następuje zmiany na szczytach sportowych tabel, jak płynna jest granica między sportowym sukcesem a porażką. Philippe Houwion, który niedawno skoczył o tyczce 577 cm i osiągnął rekord świata, w Moskwie miał kłopoty z przeskokiem wysokości 525 cm i z trudem zakwalifikował się do finału. Innym powiodło się gorzej. Nowa rekordzista świata, Tatiana Birulina, w Moskwie była dopiero szósta wśród oszczepniczek, a faworytka, Ruth Fuchs — ósma. Nie powiodło się również naszemu pioniom, na które wszyscy tak bardzo liczyli. Irena Szezińska była ostatnia w biegu półmaratonu na 400 metrów. Powód przegranej — kontuzja.

Sprawa jest wielce drażliwa. Wszyscy kibice wysoko cenią Irenę Szezińską. I byłby wielce radzi, gdyby nasza wielokrotna medalistka olimpijska znów potwierdziła swoją wysoką formę. Ale stało się inaczej. W biegu finałowym na 400 m nie było Ireny Szezińskiej. To jest fakt. A z faktami trzeba zawsze się liczyć. I wtedy pamiętaliśmy, że wśród najlepszych biegaczek na dystansie 400 m, w tym roku Irenę Szezińską notowano na 7 pozycji, z czasem 51 sekund. Olimpijska złota medalistka, Marita Koch, była do tej pory najlepsza i osiągnęła w tym roku czas 49,15 sekund. Tak realnie wyglądały szanse. Poza tym warto jeszcze dodać, że Irena Szezińska przegrała wcześniej w biegu na 100 metrów z Elżbietą Stachurską. Od dawna miała kłopoty ze ścięgnem Achillesa.

Sukcesu na Olimpiadzie nie odniósł też Józef Zapędzki, dwukrotny złoty medalista olimpijski w strzelaniu z pistoletu. Przed moskiewską Olimpiadą Józef Zapędzki był w znakomitej formie, przygotował się starannie, ale po oddaniu strzałów, kiedy zapytano go, dlaczego nie udało się, odpowiedział szczerze: „No, cóż, nie te już oczy, nie ta już ręka”.

Przed odlotem do Moskwy nasze trzy „plotkarki”: Zofia Bielczyk, Lucyna Langer i Grażyna



40 JUBILEUSZOWY

cy). Bez wytchnienia pracują serwis. Naprawiają zmęczone trudami i poobijane o przeszkody auta. Wielki kamion z napisem Michelin — to serwis Zaniniego. Alfa Romeo; tu leczy rany po spotkaniu z drzewem samochód sympatycznego Preglisa, jednego z najlepszych włoskich kierowców.

Są trzy busy marki Fiat, serwis fabryczny naszego Poloneza. Tomasz Ciecieryński miał jakiś problem z silnikiem, teraz trwa naprawa. Stoją auta Stawowiaka i Pluchy. Wyjął przenośny agregat prądowój. Widno jak w dzień. Ekipa filmowa kręci film nie używając dodatkowego oświetlenia.

Kombinezony mechaników różnych firm. Zmęczeni, umorusani, pracują jak automaty. Gdyby nie oni, wiele aut nie odjechałoby stąd o własnych siłach.

Naprawiamy wozy naszej załogi. Jerzy Szulc i Bogdan Lech, to jedyni reprezentanci Automobilklubu Łódzkiego na tym rajdzie. Trzy miesiące przygotowywali samochód do imprezy. Wiemy teraz, że trzeba będzie inaczej rozwiązać sterowanie czterema gaźnikami, aby zapewnić niezawodność sprzętu na przyszłe rajdy.

Montujemy przywiezione części, zmieniamy opony, dokonujemy wszelkich możliwych regulacji. Przekaszamy co nieco i już koniec przerwy.

Znad gór unosi się mgła. Świta.

Zegnamy załogę, która wróci tu za kilka godzin po przejeździe 200 km pętli. Możemy tu zostać, dalej oczekując ich dwa inne nasze serwisy.

Teraz dopiero czujemy zmęczenie. Wsiadamy do samochodu i drzemimy. Budzimy się, kiedy Andrzej Komorowski z radia kierowców podaje kolejny meldunek z trasy. Pilnie nasłuchujemy, ale o naszej załodze żadnej wzmianki. Drzemimy, skurczeni i zmarznięci.

Są, jadą! Na parking wtańczają się rajdowe maszyny. Brakuje kilkunastu załóg. Zostali gdzieś na trasie. No, przejeżdżają wreszcie nasi. Nierówna praca silnika, strzelanie, kichanie, cisza... Rozpędem dotarliśmy do nas.

To już koniec. Nie mają żadnych szans. Podejmujemy decyzję o powrocie do hotelu. Podwiązujemy, jakoś gaźniki i zjeżdżamy w dół. Wyprzedzają nas samochody rajdowe. W pewnej chwili trzask i kołysanie auta, to czeski zawod-

nik otarł się o mnie. Nie żywię urazy, wiem, jak bardzo się spieszy. Szerokiej drogi, kolego!

Smutno mi na duszy. Tyle wysiłku i serca włożyliśmy w rajd. Dojeżdżamy do Wrocławia. Zasypany natychmiast po zetknięciu się z pościelą.

Budzę się po czterech godzinach i niesie mnie do biura prasowego. Wywieszono prowizoryczne wyniki pierwszego etapu. Czołowa trójka Polaków: Krupa, Stawowiak, Ciecieryński, zmieściła się w pierwszej dziesiątce. Spiać teraz w hotelu, mają siedem godzin na regenerację sił. Sprawdzam wyniki łodzin. Nie było źle. Dopóki jechali, mieścili się w czołówce. Mieli szansę, na zwycięstwo w swojej klasie.

Start do II etapu. Godzina 20.01. Na podium Zanini. W odstępach 60-sekundowych odjeżdżają kolejne załogi. Druga mordercza noc. Na szczęście deszcz nie pada.

Jedziemy oglądać dwa odcinki specjalne: Srebrną Górę i Walim. Patrzymy jak urzeczni na wspaniałe widowisko. Czerń i światło. Cisza i huk. Stoicki spokój gór i zwirowany pęd samochodów. Srebrna Góra nie śpi tej nocy, okna i

balkony pełne ciekawskich.

Schodzimy w dół, na metę odcinka. Wygrał go Zanini przed Ragnottim, czwarty był Czechosłowak Svatopluk na Skodzie 130 RS, piąte i szóste, ex aequo, Krupa i Stawowiak.

Teraz — na słynny w całej Polsce OS — Walim. Noc już minęła, oglądanie w dzień to nie tylko światło i dźwięk. Wytrawny kibic zauważy każdy ruch kierowcy, każde ustawienie auta. Padają słowa podziwu i ostrej krytyki.

Stoję przed prawą patelnią, zaraz za nią 30 metrów prostej i lewa agra. Jak odwrócić głowę w lewo, mogę obserwować wychodzących z tuku zawodników i prowadzić ich wzrokiem przez dwa zakręty.

Samochody mimo dnia, mają zapalone reflektory. Pierwsze auta niosą wodę z kafuzy na zakręt. Teraz zaczyna się prawdziwe widowisko. Wozy jadą na specjalnych oponach, trzymających znakomicie na suchych, twardych nawierzchniach. Są to gołe walce bez bieżników, dlatego też niebezpieczna dla nich jest każda kałuża.

Stosunkowo wolno przejeżdża Błażej Krupa. Ci, którzy oglądali go wcześniej, twierdzą, że miał usterkę silnika i stracił

około 3 minut. Widać, że silnik nadal nie uzyskał pełnej sprawności.

Nadjeżdżają Polonezy! Stawowiak i Ciecieryński prowadzą swoje auta bezbłędnie. Prawy ślizg, lewy ślizg i po zakrętach! Żadnej brawury, tylko wielkie mistrzostwo.

Sensację wywołują Skody 130 RS, ich kierowcy wiedzą, że są na dobrych pozycjach. Teraz, gdy do mety już blisko — jedą va banque. Hamowanie do granic przyczepności, pełne boczne ślizgi, wydaje się — nie do skontrowania. Jednak przechodzą i uzyskują znakomity rezultat.

Przestraszył i podziw wzbudził kierowca radziecki, Nikołaj Jeliżarow, który na swoim WAZ wpadł w głęboki poślizg na wodzie naniesionej przez poprzedników. Już, już, wydaje się, że wypadnie z trasy prosto na stojących wzdłuż drogi kibiców. Ratuje się jednak pełną mocą silnika i błyskawicznymi manewrami kierowcy. Tylna koła wozu rwą dardn znad skraju rowu. Auto łamie się kilka razy w przeciwnych kierunkach. Poradził sobie znakomicie! Przeknął przez oba zakręty niewiele tracąc na szybkości.

Czas wracać do Wrocławia,

jeżeli chcemy być świadkami powrotu zawodników na metę. Kilka kilometrów przed miastem ostatni punkt kontroli czasu. Czekają wozy serwisowe, myją się zawodnicy, mechanicy czyszczą samochody. Chcą wjechać odświeżeni, bo meta to cel 1500-kilometrowych zmagani. Dojeżdżanie do mety, bez względu na zajęte miejsce, to wielki sukces w tym rajdzie.

Tłumy witają wjeżdżające załogi. Mimo wczesnych godzin rannych Stadion Olimpijski wypełniony po brzegi Strzelają butelki z szampanem. Do zawodników biegną dziennikarze i koledzy.

Strasliwie zmęczeni; nieogolone twarze, podkrążone oczy... szeroki uśmiech szczęścia. Zwyciężyli! Zwyciężyli zmęczenie i strach, czas i odległość. Są na MECIE!

Po południu idą na konferencję prasową z przedstawicielami FIA, panami: H. Schmitzem i K. Coiffe. Chwalą organizację i trasę. Zapewniają, że sława Rajdu Polskiego została ugruntowana. W pełni zasługuje on na cztery gwiazdki, zdobiące tytułową stronę regulaminu.

Wieczorem oficjalne ogłoszenie wyników.

Klasyfikacja generalna Mistrzostw Europy:

1. A. Zanini — S. Sabater; Porsche 911 SC (Hiszpania).
2. J. Ragnotti — J. M. Andre; Renault 5 A (Francja).
3. H. Bohne — P. Diekmann; Mercedes 450 SLC (RFN).

Polacy:

8. M. Stawowiak — R. Zyskowski; Polonez 2000.

9. B. Krupa — P. Mystkowski; Renault 5 A.

10. B. Wozowicz — W. Wozowicz; WAZ.

11. T. Ciecieryński — J. Różański; Polonez 2000.

40. H. Pinis — A. Witek; Fiat 126 p.

31. M. Ryndak — T. Kwiatek; Fiat 126 p.

Dwie końcowe załogi zajęły I i II miejsce w swoich klasach, udowadniając, że maluchy też potrafią walczyć.

Po odczytaniu listy nagródnych długotrwała owacja na cześć działaczy Automobilklubu Dolnośląskiego. Otwierając bankiet, komandor 40 Rajdu Polskiego, dyr. Aleksander Salaga, powiedział: — dziś skończył się czterdziesty rajd, od jutra przygotowujemy następny!

KAZIMIERZ KOLINKA

Rabsztyn udzielił telewizji polskiej wywiadu. Najszerszej wypowiedziała się Zofia Bielczyk. Lucyna Langer była skromna i jakby zalekniona. Zawsze zresztą stała w cieniu swoich rywali.

Grażyna Rabsztyn była, jak zawsze, dumna i pewna siebie. Jechała przecież po złoty medal. Odpowiadała niechętnie, jakby z przymusem, jakby odganiała muchy. Można było odnieść wrażenie, że trzy olimpijskie medale podzielono już między trzy polskie zawodniczki. Tylko co do tego, która jaki kruszec weźmie, nie było zgody, do tego potrzebny był moskiewski finał. I oto nadziedli. Bohdan Tomaszewski miał bardzo niewyraźny głos w radiowym sprawozdaniu, kiedy relacjonował, że jednak nie Grażyna Rabsztyn zdobyła złoty medal. Był też zdziwiony, że Zofia Bielczyk przybiegła ostatnia, a Lucyna Langer chyba zdobyła brązowy medal. Tomasz Hopfer też był zaskoczony. Widać zupełnie inne fotografie przygotował na ścianę medalistów w moskiewskim studio. No cóż, jeszcze raz się potwierdziło, że faworyci często przegrywają, a ci, na których najmniej liczone, wywożą medale z Moskwy.

Czesław Lang sprawił sympatykom kolarstwa miłą niespodziankę, zdobywając srebrny medal w wyścigu indywidualnym na 189 km. Ale ciągle jeszcze nie możemy zapomnieć porażki na mińskiej szosie naszych drużynowych wicemistrzów świata, którzy przyjechali dopiero na czwartym miejscu. Wracam do tej przebrzmiałej sprawy nie bez powodu. Oto bowiem, na tej samej szosie, rok wcześniej, w czasie Spartakiady Narodów ZSRR, oficjalna reprezentacja ZSRR zajęła trzecie miejsce, ustępując reprezentacji Rosyjskiej Federacji i Białoru-

si. Wiktor Kapitonow był nie mniej zaskoczony, niż dziennikarzy. Ale umiał przynajmniej do błędu i po roku czterech zwycięzcy z mińskiej szosy zdobyli złoty medal olimpijski.

Jestem pełna podziwu dla odwagi radzieckich trenerów. Nasi komentatorzy co rusz powtarzają, prezentując radzieckiego sportowca, że jest to odkrycie ostatniego sezonu. Takim odkryciem sezonu jest oszczepnik, Dainis Kula. Jeszcze w czerwcu był poza reprezentacją ZSRR, ale wśród najlepszych na świecie w tym roku notowano go jako drugiego z wynikiem 92,06 m. W Moskwie stanął na podium, zdobywając złoto dla radzieckiej ekipy. A to przecież jeden tylko przykład. Wspominam o tym, bo nas nie byłoby stać na coś takiego. U nas najpierw tworzy się koncepcję, dzieli się medale, czyli skóra na żywym jessze niedźwiedziu (biedny Miszka!), a później dopasowuje się zawodników do tej koncepcji. Metoda, jak metoda. Może i dobra. Tylko rezultaty mierne. Oto tabela medalu z 27 lipca 1980 roku: Polska na 16 pozycji. A byli wśród nas i tacy, którzy twierdzili, że na tej Olimpiadzie podzielnym medale między ZSRR, NRD i Polskę. Trzecia pozycja, jak do niedzieli, niestety, zajmują Węgry, na czwartej Rumunia, na piątej Wielka Brytania...

Pięknym widowiskiem jest ta Olimpiada. Tylko koni mi żal. Nie mam pretensji do naszych jeźdźców, że zajęli gorsze miejsce. W tej konkurencji nie wszystko zależy od jeźdźcy. Jest jeszcze koń. A konie wykazały więcej rozsądku od ludzi i nie chciały brać wymyślnych przeszkód. Człowiek stawia sobie coraz wyższe wymagania. To sprawa człowieka. Konie nie ma w tym żadnego interesu. Przynajmniej na Olimpiadzie, której symatyczny Miszka jest maskotką, miejmy trochę wyrozumiałości dla zwierząt.

BOGDA MADEJ

SKUŚ BABA W KREGLU

...tak właśnie — zawistnie, ale ze szczerą nadzieją na spełnienie tego życzenia, dogadywano swego czasu uczestnikom Ogólnopolskich Kreglarzskich Mistrzostw Dziennikarzy, zorganizowanych w kregielni zakopiańskiego hotelu „Kasprowy”. Uparły się one wziąć w rękę kule nie wierząc, że kregle to sport męski. Tradycyjny żeński sceptycyzm i brawura zostały nagrodzone niezłymi wynikami.

Ten coraz popularniejszy sport (i zabawa) — ma arcydługą i szacowną historię. Pierwsze materiały źródłowe pochodzą z 5200 roku przed naszą erą i odnaleziono je w Egipcie. Na kontynencie europejskim pierwsze dokumenty opisujące grę w kreg-

gle mają daty XII- i XIII-wieczne. Niezwykłą popularność osiągnęło kreglarstwo w średniowieczu, tak wśród warstw panujących, jak i plebsu. W XIV i XV wieku ogłoszono też szereg edyktów ograniczających, a nawet zakazujących gry w kregle, gdyż „jej hazardowe tendencje odrywały wernych od bardziej zbożnych celów”.

W roku 1626 koloniści europejscy zbudowali pierwszą kregielnię na kontynencie amerykańskim, gdzie zabawa ta zyskała olbrzymią popularność. Pod koniec XIX wieku powstają również w Polsce pierwsze kluby kreglarzskie — szczególnie w Wielkopolsce i Galicji. W roku 1936 powstaje Poznański Związek Kreglarzy, który kładzie podwaliny pod działalność obecnego Polskiego Związku Kreglarzskiego. Do dziś dnia właśnie poznaniacy są najbardziej zagorzałymi i niezmordowanymi propagatorami kreglarstwa.

— Proszę pana — powiedział mi w Zakopanem, kiedy już otarłem pot z czoła po swoich rutach, inż. Grzegorz Cwojdziński z Poznania — kreglarstwo to gra dla wszystkich. Może być zajęciem wyciecznym i rekreacyjnym, daje gozdziwą rozrywkę wszystkim — od dzieci począwszy, a na ludziach w zaawansowanym wieku skończywszy. Kreglarstwo nie wymaga wielkich inwestycji, a budowa kregielni możliwa jest przy niewielkich nakładach finansowych — w czynie społecznym.

Ta świetna zabawa daje jednocześnie szansę podreperowania kondycji fizycznej, odchudza — co dla wielu też się będzie liczyć — pobudzając do pracy wiele mięśni i stawów,

zwiększa sprawność ruchową — jednym słowem daje radość i zdrowie. Powiadam panu, że nówelowe sportów ma tyle zalet co kreglarstwo. Są to fakty, które znajdują potwierdzenie w życiu. Wiele sportów wynaturzyło się, a dystans pomiędzy ich uprawianiem a wyczynem, jest ogromny. Aha, jeszcze jedna zaleta są proste przepisy gry... no i to, że na świecie jest już ponad 16 milionów kreglarzy, w 57 państwach. Tyle, że żadne statystyki, tak światowe jak i nasze, nie podają liczby ludzi traktujących kreglarstwo rekreacyjnie i rozrywkowo.

Zaagitowany do gry w kregle, pragnąc co prędzej wzmocnić się, odchudzić i zrelaksować, postanowiłem poszukać szansy zrealizowania swoich marzeń tu na miejscu — w Łodzi, gdzie przecież nie tylko w czasie kanikuły i „lata w mieście” ludzie zastanawiają się, w co się bawić.

Dowiedziawszy się od szefów Polskiego Związku Kreglarzskiego, że kregielnie mają nie tylko Poznań, Zakopane, Kraków, Olsztyn, ale i takie metropolie, jak Srem, Kościan, Szubin, Brzesko i Gostynin, że w ciągu ostatnich lat kilka-set organizacji, zakładów pracy, instytucji, klubów i ognisk TKKF otrzymało w PZK dokumentację na budowę kregielni — pewien byłem, że i w grodzie nad Łódką znajdzie miejsce, gdzie z zapalem i frajdą poturiam sobie do kregli.

W sobotę, 10 lipca, o godz. 12.20 wykonałem pierwszy telefon do Wydziału Kultury Fizycznej i Turystyki (602-54), gdzie sympatyczna pani wyjaśniła mi, że WKKFIT kreglar-

stwem się nie zajmuje, gdzie mogą być kregielnie, to ona, niestety, nie wie, ale chętnie poda mi telefon do Wojewódzkiej Federacji Sportu — no, bo oni powinni chyba wiedzieć i zajmować się taką sprawą.

„Taka sprawa”, okazała się również bardzo kłopotliwa dla pani dyżurującej przy telefonie 650-17, we wspomnianej federacji. — Nie wiem, raczej wątpię, u nas czegoś takiego nie ma, nie wiem, kto może wiedzieć, przepraszam, mam drugi telefon, muszę się rozłączyć. Po tej przemowie w telegraficznym stylu, rzeczwiście zostałem rozłączony i... nieutilony w żalu po kreglach. Kiedys, ktoś mi wprawdzie wspominał, że gdzieś istnieje w Łodzi kregielnia, ale skoro dwie poważne, wyspecjalizowane organizacje — instytucje — federacje, nie mają o tym pojęcia, to widać jest to kregielnia tajna, a ja przecież chciałem przewracać kregle jawnie.

Długo jeszcze dumałem nad powodami tego cichociemnego stosunku do kreglarstwa, dopóki nie przyszedł mi z pomocą... Mikołaj Rej z Nagłowic. Prędzej bowiem, niż kregielnię w Łodzi, znalazłem stosowne wyjaśnienie jej braku w Pana Rejowym „Wizerunku człowieka poczeiowego”, gdzie Rej stwierdza z dumą (w roku 1560): „...NIE ZNAJDZIESZ U NAS KREGLI, OPILSTWA NI NUDY”.

ZDZISŁAW SZCZEPANIAK

ODGŁOSY 11

„Namnożyło nam się „sportowych Passentów”, a wszystko wskazuje na to, że w redakcjach najwięcej placą za felietony” — pisze w „Głosie Robotniczym” referent sportowy, Bogusław Kukuć. Gdybym napisał, że namnożyło nam się sportowych Kukućów, to cytowany autor pewnie by się obraził. Passent się nie obrazi, bo nie czyta kolumny sportowej w „Głosie” na czym oczywiście wiele traci. Cytowane zdanie pochodzi zresztą z felietonu redaktora Kukucia pt. „Nie szukajmy dziur w całym”, co jeszcze raz wydaje się potwierdzać tezę, że w redakcjach najlepiej placą za felietony.

A o co chodzi merytorycznie? Dlaczego Passent użył został w liczbie mnogiej, a więc jako wspólny mianownik jakiegoś szerszego zjawiska, jakiegoś powtarzającego się stylu pisanego? Otóż chodzi o sposób pisanie o sporcie.

Jak należy pisać o sporcie? Myślę, że tak samo jak o każdej ludzkiej, normalnej sprawie: źle i dobrze, jeśli coś tam na sympatię czy na zgorznienie zasługuje. W żadnym zaś wypadku — tak mi się zdaje — nie należy pisać na kłęczkach i ze wstrzymanym oddechem, żeby nam się aby nasz najdroższy, młodzutki, słabutki sportik nie zdenerwował. Nawet redaktor Kukuć, acz niechętnie, przyznaje, że „stojąc na gruncie formalnym, można powiedzieć, że wolno i należy pisać wszystko, co jest prawdą”. Ale zaraz potem dodaje: „czy warto pisać? Czy jaskrawe podkreślanie pewnych zjawisk i wypadków leży w interesie rozwoju sportu, czy też nie?”

No, to już jest postawa: nie do

przyjęcia. Czy warto pisać całą prawdę o budownictwie, także tę prawdę, która nie leży w interesie budowlanych? Czy warto pisać prawdę o naszej słabutkiej gastronomii,

JAK PISAĆ O SPORCIE

skoro nie ma ona takich tradycji jak w Anglii, która w/g Kukucia jest jedynym krajem, gdzie można pisać absolutnie wszystko?

Żeby nie było wątpliwości, redaktor Kukuć przytacza jeszcze tłustym drukiem zdanie W. J. Dąbrowskiego: „Zachodzi tu pytanie, które w ostatnich czasach niestety coraz częściej musi być stawiane: jak się dziennikarz sportowy ma ustosunkować do wydarzeń sportu kompromitujących, do zjawisk ujemnych. Czy piętnować, wołać na alarm, czy ma przemilczeć, czy ma tuszować?” Nie wiem, czy Dąbrowski radził tuszować. Zawieszenie głosu na pytanku przez redaktora Kukucia nadaje cytowanemu zdaniu sens pytania retorycznego, gdzie odpowiedź narzuca się sama: przemilczeć! Tuszować! To jest zupełnie ten sam ton, co w odniesieniu do różnych niepokojących wiadomości z terenu działalności służby zdrowia lub szkolnictwa: czy wiadomość o tym nie zaszkodzi

powszechnemu nauczaniu? Czy nie lepiej przemilczeć? Lekarz wyrzucił za drzwi pacjenta, który w chwilę potem zmarł: czy dobrze robimy pisząc o tym, czy służby zdrowia to nie skompromituje?

„Teraz piękno sportu tkwi w czymś innym, a wysoki parkan brzydoty, jaki go otoczył, trzeba starać się przeskoczyć” — pisze redaktor Kukuć w kontekście aluzji do sportowych felietonów Bohdana Tomaszewskiego w „Kulturze”. Tomaszewski mianowicie pisze o pięknie, które tkwiło w czystej, sportowej ambicji, w rycerskich obyczajach sportowych, w bezinteresowności sportowego wysiłku. „Teraz piękno sportu tkwi w czymś innym”. W czymże więc tkwi teraz to piękno, panie redaktorze Kukuć, jeśli ma ono być przeciwstawne tamtemu archaicznemu ideałowi? I czy naprawdę najlepszym sposobem bycia jest przeskakiwanie parkanu brzydoty, zamiast ten parkan zniszczyć, zburzyć, zlikwidować? Po co nam parkany brzydoty? Do przeskakiwania?

Takie skoki to może także sport, taki na „teraz”. Może niektórzy dziennikarze naprawdę mają w sobie coś z psów, hien i sepoów, jak to wytwornie sugeruje redaktor Kukuć (cytat byłby za długi, ale mam go w zanadrzu). A już na pewno bliskie prawdy jest takie stwierdzenie z omawianego tu felietonu: należy on do „trudnych form publicystycznych, które w założeniu mają przede wszystkim olej i rzetelną wiedzę”. Pamiętajmy: forma, która ma w założeniu olej...

ĆWIEK

Starożytni mówili „Nihil novi sub sole”, co współczesny Polak bez znajomości łaciny może przełożyć na „Wszystko po staremu”. Tak sobie pomyślałem, gdy przeczytałem w „Expressie” tekst reklamowy jako „informacja własna”. W czasach starego, dobrego dziennikarstwa tą inskrypcją opatrywano teksty zupełnie oryginalne, odkrywające rzeczy nieznanie i sensacyjne.

Jaką sensację obwieścił nam „Express”? Otóż taką, że popioły z Elektrociepłowni będą surowcem dla budownictwa. „Co zrobić z popiołem,

Aldridge zmarł w sierpniu 1867 roku... Wystarczyło — bez szukania — zajrzeć do pierwszej z brzegu książki na temat teatrów łódzkich, albo choćby do „Kwiatów polskich”, gdzie Tuwim na długo przed panią Woyciką wskazał „grób w Łodzi”.

Ano, cóż robić? Jesteśmy po prostu mało czytelnymi. Publicyści narzekają na to zjawisko — co mądrzejsi znają nawet jego przyczyny. Nikt tylko nie zgadnie jak to się dzieje, że polski korespondent w Paryżu pisząc epistolę na temat Boya Zelenieckiego uważa, że znany pisarz miał na imię

NIC NOWEGO...

który znakomicie nadał się do produkcji elementów prefabrykowanych? — pyta „Express”.

Otóż wcale nie jest takie pewne czy popioły nadają się „znakomicie”. Można by poprosić paru inżynierów — praktyków, można by poprosić mieszkańców bloków, w których przed paroma laty wymieniano ściany szczytowe z elementów prefabrykowanych... A w ogóle nie jest to nic nowego. Pyły dynamiczne służyły przed laty do produkcji płyt budowlanych, sam o tym — jako młody reporter — pisałem z takim samym entuzjazmem, jak moja koleżanka z „Expressu”.

Potem jednakże tę produkcję przewano. Dlaczego? Może warto byłoby spytać czemu fachowcy zrezygnowali z tej „rewelacji”?

Zostawmy jednak budownictwo — zajmijmy się kulturą, co jest zajęciem równie kłopotliwym. Czytam książkę Jana Adamczewskiego „Ech, mój Krakowie” i wdycham sobie „Ech, mój autorze”.

Znajduję tam bowiem taką rewelację: „W połowie XIX wieku jeździł po naszym kraju amerykański aktor, Murzyn, który gdzieś u nas zmarł. Jadwiga Woycicka odnalazła wszystko co było potrzebne. Okazało się, że można nawet wskazać jego grób w Łodzi. A przecież chodziło o rok 1862”.

Pani Woycicka nie musiała wcale niczego szukać. O Ire Aldridge'u wiadomo od stu lat, napisano na jego temat wiele, jego grób w Łodzi znany jest od lat stu — a w ogóle to Adamczewski mylił daty, bo

Stanisław. Ale to — oczywiście — drobiazg, tam gdzie nie można, nasz korespondent nie pomylił imienia. W wypadku pisarza niechlujstwo jest dopuszczalne.

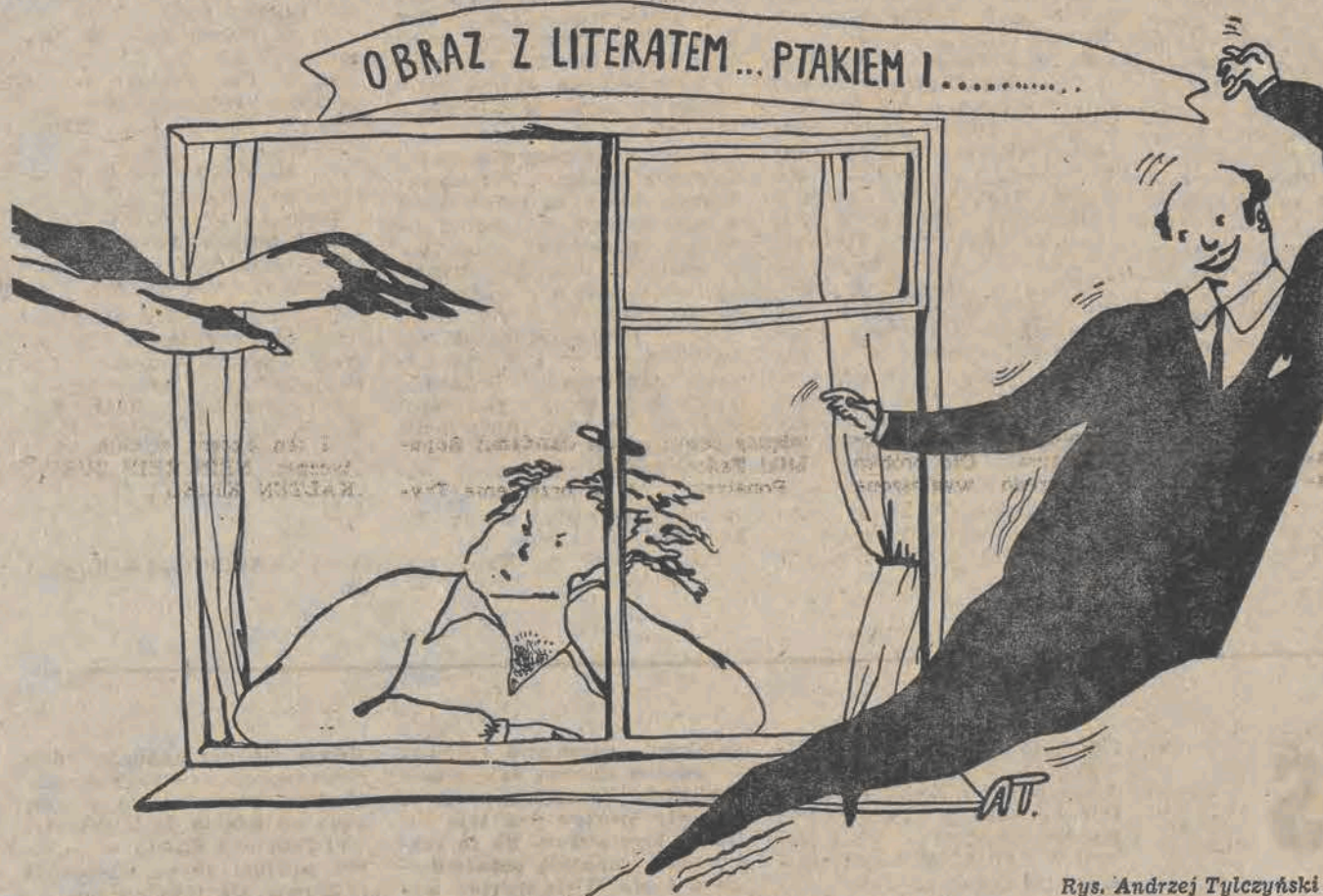
Na koniec zaprezentuję unikalny druk wydany przez Państwowy Instytut Wydawniczy, w nakładzie 30 tysięcy egzemplarzy. Jest to... spis dzieł Jana Kochanowskiego wydawanych przez tę zaśluszoną oficynę w latach 1946—1980. Bardzo pouczająca to książka. Dzięki niej wiem, że w bieżącym roku ukazały się „Dzieła polskie” Mistra z Czarnolasu, że wydano jego zbiorek anegdoty prozą, że ukazał się makaroniczny poemacik Kochanowskiego „Carmen macaronicum...”. Dzięki tej cennej książeczce mogłem poinformować znajomych księgarzy, czego aktualnie nie dostaną ze Składnicy.

W sumie jednak jest to publikacja optymistyczna. Wynika z niej, że w ciągu 35 lat wydaliśmy około stu książek Kochanowskiego, bądź poświęconych Kochanowskiemu — i mimo to książki te są wciąż poszukiwane, wciąż jest ich za mało, wciąż dorastają nowe roczniki, które chcą czytać także Kochanowskiego, którym nie wystarczy „informacja własna” z Łodzi czy z Paryża.

Fakt, że „Nihil novi sub sole” jest również optymistyczny. Bywają przecież „nowości” tak rewelacyjne, że może się od nich zakręcić w głowie. A jak wiadomo, zawrót głowy od sukcesów bywa równie niebezpieczny jak zawrót głowy z braku witamin.

WIDOK

ZAMIAST FELIETONU



Rys. Andrzej Tylczyński

1/3 mini magazyn

I ty możesz zostać milionerem

Czym milioner różni się od nie-milionera? Tym, że posiada sejf. Na Dworcu Centralnym w Warszawie PKP zastrzegła 328 automatycznych skrytek oraz umieściła nad nimi napis: „Kolej nie odpowiada za bagaż pozostawiony w schowku”. Wokół schowków kręci się wieść grono wytrwałych warszawskich złodziei, którzy czeka na naliwanych podróżnych, którzy zechcą schować bagaż w schowku z automatycznym sygnalizatorem.

Kandydat na milionera udaje się więc do Warszawy, wynajmuje na Dworcu Centralnym automatyczną skrytkę i chowa w niej cokolwiek ciekawego. Zaintrigowani złodzieje będą teraz usilowo dostawać się do zaszyfrowanego schowka. Dzięki temu każdy z nas przez jakiś czas może czuć się milionerem. Zyg.

Z winy Japończyków

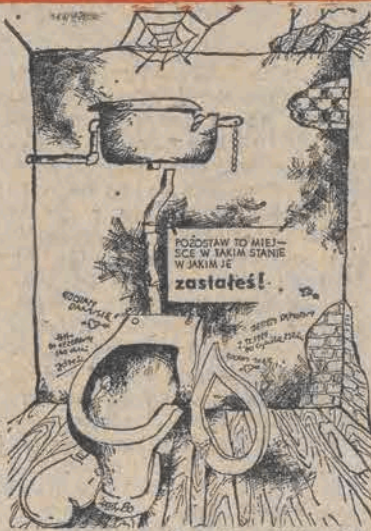
Łódzki „Półfab” spowodował z Japonii niezbędny dla produkcji chlorokauczku — donosi „Dziennik Popularny”. Aliliści, Japończycy nieświadomi naszych kłopotów przysłali chlorokauczku w kontenerach i to nie na stację Łódź-Olechow, gdzie urządzenia do rozładunku kontenerów są lecz na stację Łódź-Karolew, gdzie urządzeń takich nie ma. Ech, ci Japończycy, zawsze coś nakoczą.

Tak więc „Półfab” czekał na chlorokauczku, a ten czekał sobie spokojnie w kontenerach, w śledniu wagonach, na bocznicę Karolewskiej. U nas na naszej kolei, nie to co u Japończyków porządek musi być. Jak stół, że Łódź-Karolew, a nie co innego.

I tak właśnie chlorokauczku stał.

I tak właśnie, przez Japończyków chyba, nie mogliśmy kupić w sklepach niczego, do czego chlorokauczku jest potrzebny.

C. H. Emik



Rys. Jan Kulkowski

„Pszczółka Maja” dla dorosłych

Telewizja od czasu do czasu płać nam różne figle. Jest to znakomity sposób na utrzymywanie programu. W sobotę zapowiedziano że włoski western „Pociąg do Durango” emitowany o godzinie 23.15, przeznaczony jest tylko dla widzów dorosłych. Obejrzelśmy ten film i nadal nie rozumiemy, skąd to zastrzeżenie. Telewizja niedługo zacznie zapowiadać, że serial o pszczołach Mał jest też przeznaczony tylko dla dorosłych. Tele. Widz

Droga rozwoju

Na początku wymyślono „samę”. Ludziom to się spodobało, bo można sobie samemu wybrać towar i nie ma się kontaktu z nieuprzedzonymi ekspedientkami. Handel też był z tego zadowolony, bo klient sam wiedział, czego nie ma i nie było kogo pytać, kiedy będzie, a handel tego też nie wie. Wszyscy więc byli zadowoleni.

Wtedy handel wymyślił „supersamę”. To są takie same „samę” tylko większe, a więc i możliwość wyboru towaru jest większa. Jeśli ten towar w ogóle jest i jeśli go dowiozą. Na drodze rozwoju handlu był to kolejny etap.

Teraz w Warszawie na Ursynowie otwarto „Megasam”. Handel w wymyślaniu nazw osiągnął najwyższy szczyt. Po „Megasamie” nie już nie można wymyślić.

K. L. Ient

TO I TAMTO

Na plecach

„Bohaterem dzisiejszych czasów jest człowiek sukcesu — pisze „Dziennik Popularny”. — Każdy pragnie go osiągnąć — w pracy, w życiu towarzyskim, w małżeństwie”. Wydaje się, że „DP” trafnie uchwycił istotę zjawiska. Osiągnąć człowieka sukcesu jest mimo wszystko łatwiej, niż osiągnąć sukces. A później, na plecach człowieka sukcesu...

L. Amaga

Pusty hotel

Małgorzata Karbownik odbyła rozmowę z kierownikiem kina „Iwanowo” Stanisławem Zarzyckim i opublikowała ją w „Głosie Robotniczym”. Tekst ten otrzymał nadtytuł „Rozmyślania w pustym hotelu”. Bardzo nam się taki nadtytuł podoba, ale musimy jednak zadać pytanie: — jeśli hotel jest pusty, to kto w nim myśli?

N. N.

Wiadomości olimpijskie

JAK DZIECKO...

Komentator telewizyjny miał za złe naszej młodzutej gimnastyczce, Aniele Jokiel, że po nieudanym występie płacze, i to na oczach wszystkich, że — jednym słowem — zachowuje się jak dziecko...

Jeszcze paru takich komentatorów, a tychylo nasi najmłodsi sportowcy stana się starcami. Psychiczniymi.

NA CZCZO

Pisze red. Andrzej Szymański z „Dziennika Popularnego” o Urszuli Kleian: „Zaprzęgnięta szanse awansowania nawet... złotego medalu. Wystarczyło tylko (podkreślenie) „1/3” skoczyć w pierwszej próbie 197 cm”.

Rozumiemy rozgoryczenie red. Szymańskiego. Jak go znamy, to on te 197 „kacze” w pierwszej próbie co rano, i to na czczo.

R. E. Kordzista